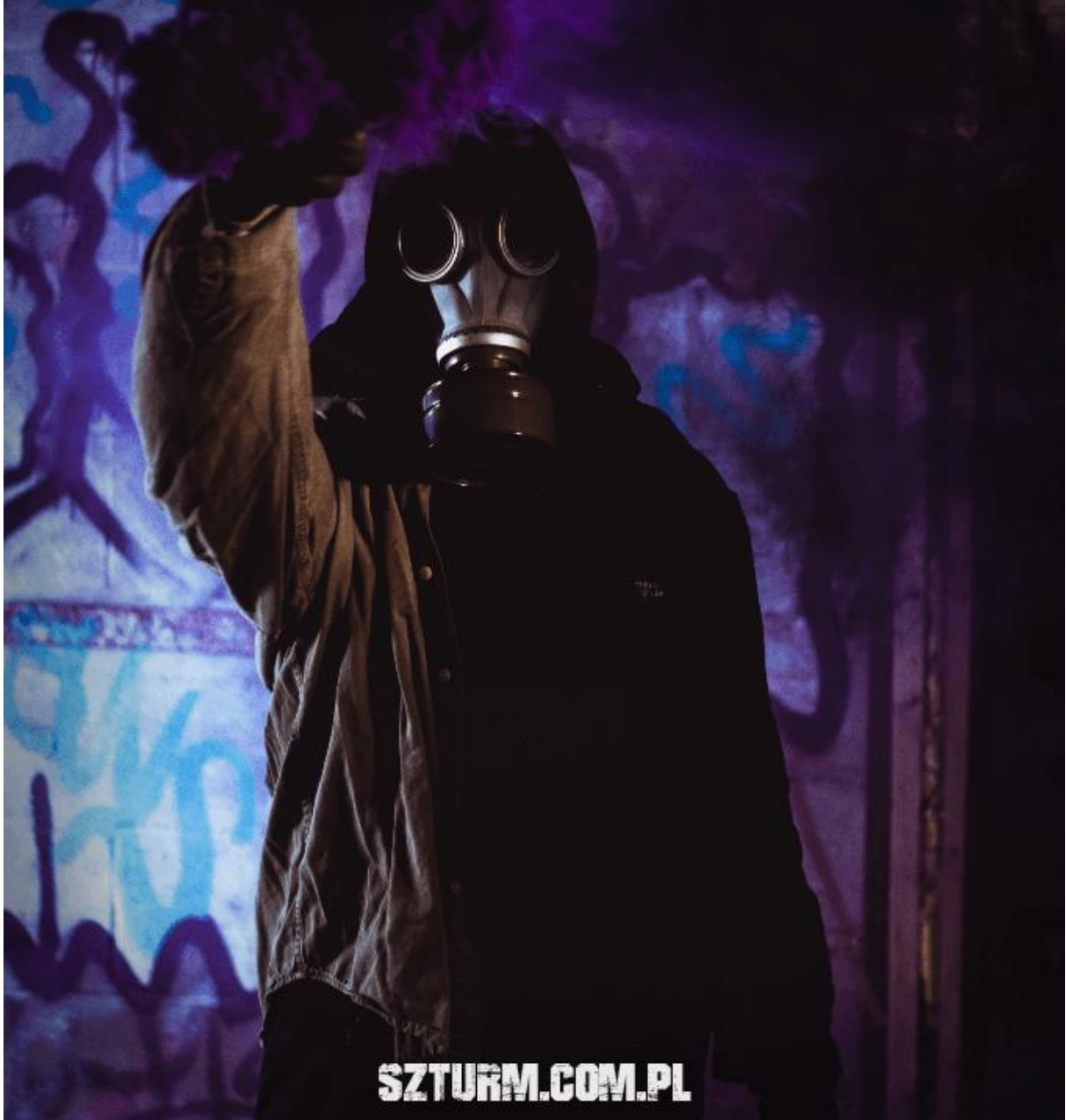


szurm.com.pl

SZTURM

miesięcznik narodowo-radykalny nr 12/2020 (75) ISSN 2450-5439



SZTURM.COM.PL

Spis treści

Grzegorz Ćwik - Covid szansą?	3
Koniec neoliberalizmu?	4
Inne modele życia	6
Państwo, Naród, racja stanu	7
Upadek elit.....	8
Zielona rewolucja.....	9
Wspólnota lokalna.....	11
Edukacja.....	11
Czas na zmiany.....	12
Grzegorz Ćwik - Wolność słowa.....	14
Wolność słowa?.....	14
Prawda.....	15
Na co nie ma zgody?.....	16
Formy i metody	19
Zakończenie.....	20
Grzegorz Ćwik - Yo Dre! I got something to say!	21
Monika Dębek - Praca nad sobą w życiu nacjonalisty.....	28
Jarosław Ostrogniew - Pięciu poetów, których powinien znać każdy nacjonalista	31
Michał Ostrzycki - Duchowość nacjonalistyczna	45
Jan Piasecki - Fundament.....	49
Jan Piasecki - Naprzeciw wzburzonej fali.....	52
Patryk Płokita - Erotica 2022 i ideologia nowej lewicy w treści. Recenzja filmu	55
Maksymilian Ratajski - Ocalić Kresy.....	60
Maksymilian Ratajski - Oswoić media	65
Michał Walkowski - Rzecz o kolistości życia ludzkiego	69
Norbert Wasik - Jan Gwałbert Pawlikowski (1860-1939) – nacjonalista, społecznik, ekolog. 72	
Marcin Wilczek - Wiersze	77
Zbigniew Wyrębski - W obronie realizmu politycznego	80

Grzegorz Ćwik - Covid szansą?

Rok 2020 zapisze się w historii z pewnością jako rok przede wszystkim koronawirusa i jego pandemii. Ogrom zmian związanych z walką z chorobą i obostrzeniami wprowadzanymi na całym świecie sprawił, że nasze dotychczas cokolwiek stabilne życie w wielu aspektach wywróciło się do góry nogami. Utrata stabilności, upadek wielu mitów i powrót z kolei wydawało się powoli odchodzących wartości – to wszystko sprawia, że rok 2020 w dłuższej perspektywie może być początkiem rewolucyjnej zmiany nie tylko tego jak żyjemy, ale generalnie całego naszego świata i rządzących nim reguł.

Wielu publicystów, zarówno z lewa jak i prawa, pyta w związku z tym czy koronawirus to także szansa? Mamy oczywiście świadomość, że choroba powoduje śmierć wielu osób, a straty ekonomiczne, społeczne i polityczne są ogromne, z drugiej jednak strony spojrzeć na całość zagadnienia możemy dużo szerzej.

Główne nurty ideowe, które napędzają obecny świat – liberalizm, kapitalizm, nowa lewica są aspektami, które poddajemy całościowej i wieloaspektowej krytyce. Jednocześnie idee te generalnie od dłuższego czasu trzymają się nie tylko bardzo mocno, ale też zdobywają coraz to nowe przyczółki i rozszerzają swój zakres rażenia. Gospodarka liberalna w stylu anglosaskim przeżera od początku lat 80-tych praktycznie cały świat, czego nasz kraj ma pecha doświadczać od ponad 30 lat. Nowa lewica wraz ze swą ideologią opresji, ofiar i dekonstrukcji staje się za pomocą politpoprawności dominującą siłą w szeregu krajów. Postępy tych nurtów w czasach i skutki ich oddziaływania nie były tak widoczne i spektakularne, jak w dobie pandemii.

Każda rewolucyjna zmiana zaczyna się od poważnego kryzysu i podważenia dotychczasowego *status quo*. Zanim rewolucjoniści francuscy w roku 1789 czy rosyjscy w roku 1905 i 1917 ruszyli na ulice budować nowy ład, najpierw zachwiany został cały poprzedni ustrój. Podobnych zresztą analogii szukać możemy i w innych momentach dziejowych – w roku 1918 i 1919 w rewolucjach Europy wschodniej czy Niemczech, w roku 1989 przy okazji upadku bloku wschodniego czy w roku 1968.

Skoro więc z jednej strony świat napędzają trucizny, które uważamy za zło w czystej postaci, a z drugiej strony koronawirus dokonuje systemowego zachwiania zastaną sytuacją, być może pandemia jest także szansą?

Koniec neoliberalizmu?

Mało co tak dostało po głowie w dobie pandemii co neoliberalizm w thatcherowsko-reagonowskim wydaniu. Oto okazało się dosłownie w ciągu dni, że w gdy rozpoczyna się kryzys, gdy upadają rynki, spada PKB i pojawiają się tysiące i miliony chorych, wszyscy zaczynają liczyć... Nie, nie na nieistniejącą rękę rynku, ale na państwo. Oto państwo ma stabilizować gospodarkę, odpowiadać za organizację życia społecznego, walczyć z chorobą i zapewnić tarcze osłonowe na czas kryzysu ekonomicznego. I nie ma w tym nic dziwnego, bo od tego jest właśnie państwo.

Warto zwrócić uwagę, że to kraje rządzone przez zadeklarowanych neoliberalistów dostały pod względem chorobowym najgorsze baty. Czemu?

Z jednej strony neoliberalowie lubują się w demontażu wszelkich normalnych instytucji jak państwowa służba zdrowia, z drugiej strony dziwnym trafem ci sami neoliberalowie zwykle zalatują foliarstwem, które każe walczyć ze szczepionkami, „plandemią” i reptilianami. Oczywiście, w głębi swej duszy (o ile neoliberal posiada takową) neoliberalowie wiedzą, że koronawirus istnieje, ale fakt, że kreatury pokroju Trumpa, Bolsonaro, Johnsona czy Korwina popierały lub popierają nadal brak zdecydowanej walki z chorobą wynika z tego, że ludzie ci przekładają nad życie ludzkie ekonomię, słupki wzrostu i utrzymanie PKB na określonym poziomie. Niech giną tysiące, byleby gospodarka nadal konsumowała, wydalała i znów pracowała by zaspokoić głód sztucznych potrzeb.

Tymczasem świat neoliberalnych urojeń swoje, a życie swoje. Tam gdzie służba zdrowia nie została jeszcze do cna rozmontowana, a państwowe agendy i struktury były odpowiednio silne, tam państwa radziły sobie dużo lepiej, niż pozostałe. Różnica w tym jak z koronawirusem radzi sobie Wielka Brytania, a jak Chiny jest tu wręcz podręcznikowa.

Oczywiście, te zewnętrzne aspekty to wierzchołek góry lodowej. Szereg innych elementów wykazał i wykazuje cały czas, że neoliberalizm zbudowany na niesprawiedliwości, wyzysku i nierówności jest drogą donikąd. Przykład Amazona, którego szef, podobnie jak inni amerykańscy miliarderzy, w czasie pandemii zarobił krocie, podczas gdy jego pracownicy stale ubożeją, jest jednym z częściej przywoływanych. Podobnie jak wypadki, gdy pomoc państwowa trafiła głównie do wielkich korporacji i banków, a nie zwykłych obywateli, co jest powtórzeniem bezczelnych praktyk z kryzysu roku 2008.

Obnażona została rzekoma dowolność zawierania umów, wszelkie niedomagania Kodeksu Pracy i instytucji mających teoretycznie pilnować tego, a z drugiej okazało się, że związki zawodowe to nie relikwiny przeszłości,

ale często jedyne skuteczne narzędzie dla pracowników do obrony swoich praw i określonej pozycji w zakładzie pracy. Nie okłamujmy się – o ile w części wypadków można uznać zasadność tego, że pracodawcy próbują np. zmniejszać pensje (turystyka, gastronomia), to w szerszym spojrzeniu argumenty jakie słyszymy, są tymi samymi argumentami, jakie słyszeliśmy od wielu dekad. „Płaca minimalna zwiększa bezrobocie”, „nie ma obowiązku pracować tu na takich warunkach”, „koszty pracy zmniejszają pensje”, etc etc. Wszystkie te brednie, stojące w rażącej sprzeczności z realiami, obecnie znów są podnoszone, aby wyzyskać moment i znacząco pogorszyć i tak niezbyt korzystną pozycję pracownika w świecie pracy.

Tymczasem okres pandemii koronawirusa jak mało co w dzisiejszych czasach uwidacznia upadek neoliberalizmu i jego zasad. To system, w którym bogaci stają się jeszcze bogatsi, biedni jeszcze biedniejsi a koszt tego ponosi całe społeczeństwo oraz środowisko naturalne.

Inne modele życia

Neoliberalizm to także określone, narzucone formy spędzania czasu i modele życia. Oparte na materializmie, szczyrym wyścigu do coraz większych zbytków, przy pominięciu rodziny, swoich pasji i jakiegokolwiek życia poza pracą. Jako rozrywka oczywiście picie na umór, coraz droższe prochy, coraz słabsze filmy w coraz droższych kinach, netflix i obowiązkowo wyjazdy zagraniczne jako wyróżnik dobrobytu.

Rodzina, przyjaciele, czas wolny? To mało dochodowe, więc projektanci dusz nie przewidzieli należytego miejsca na te archaizmy. Tymczasem

kryzys pandemiczny wykazał jak bardzo nie tylko znaczenie mają więzi ludzkie i lokalne wspólnoty, ale przede wszystkim jak mocno mylą się ci, którzy pompują i pompowali w nas wyobrażenie, że przełożenie amerykańskiego stylu życia da nam szczęście i ukojenie.

W okresie choroby okazuje się, że pomoc sąsiada więcej warta jest niż wyjazd na Majorkę a rodzinne więzi mają wyższe notowanie niż akcje CD Projektu przed premierą Cyberpunka. Do ludzi zaczyna docierać, że latami żyli omamieni złym snem, który przełamał granicę jawy i mary i stał się ich codziennością. Ciekawe ile osób, w dobie zamkniętych pubów, knajp, ćpalni i modnych miejscówek ma problem ze znalezieniem sobie czegoś „do roboty”. Ale cóż, jak ktoś kiedyś powiedział „nudzi się w życiu tylko nudnym ludziom”.

Państwo, Naród, racja stanu

Koronawirus wykazał, że wszelkie brednie rodem z ust Magdaleny Środy czy europosłanki Spurek o końcu państwa narodowego są cczą gadaniną. Państwa oparte o wspólnoty narodowe były, są i będą naturalną formą organizacji i funkcjonowania człowieka. Unia Europejska i inne organizacje międzynarodowe, które próbowały walczyć z pandemią poniosły instytucjonalną porażkę, niczym polska kadra na kolejnych mundialach. To państwa okazały się właściwym elementem i narzędziem stawiania oporu chorobie i jej następstwom. To wspólnota narodowa stanowi główny punkt odniesienia dla ludzi podczas pandemii. A przede wszystkim okazuje się, że wszelkie humanitarne głupstwa, ideologie wszechmiłości są niczym przy prostym pojęciu racji stanu. Każdy jest członkiem określonego Narodu i to w jego ramach i przy realizacji racji

stanu swego państwa walczy z koronawirusem. Ponadpaństwowe idee wykazały swoją nieprzydatność, a wręcz szkodliwość.

Tu uwidacznia się czynnik drenażu państwa i jego agend przez ideologię neoliberalizmu z jego perspektywą wiecznej optymalizacji zysków, kosztów i strat. To nie mityczny „socjalizm” odpowiada za tragiczny stan państwowej służby zdrowia, ale właśnie kapitalistyczne praktyki niszczenia wszystkiego co państwowe. W efekcie służba zdrowia jest niedofinansowana, źle zarządzana, ma niewystarczający personel do realizacji swoich działań. Wynika to z kapitalistycznej metody traktowania każdego aspektu działalności ludzkiej poprzez pryzmat kategorii materialnych. Tymczasem służba zdrowia nie ma zarabiać, a przede wszystkim leczyć i ratować ludzkie życie. Jeśli dopuścimy tu logikę neoliberalną, wówczas zawsze następuje gwałtowne obniżenie skuteczności leczenia i poziomu usług medycznych oraz ich dostępności. W końcu ratowanie ludziom życia nie jest tak dochodowe jak nowe Iphony.

Upadek elit

Jednym ze społecznych filarów neoliberalizmu jest jego umocowanie w powszechnym poparciu przez elity. Dziennikarze, naukowcy, aktorzy, muzycy oraz oczywiście „eksperci” powszechnie legitymizują ład neoliberalny. I nie ma tu większej różnicy między Petru, Lubnauer, Czarzastym, Bosakiem a Korwinem. To wszystko odmiany tej samej choroby. To ci ludzie narzucają nam określoną aksjologię, gradację wartości i wyobrażenia na temat świata. I to ci ludzie – właśnie szeroko

rozumiane elity, jak mało co, zostały skompromitowane przez swoją głupotę i oderwanie od rzeczywistości, co wykazała obecna pandemia.

Elity obecne to przede wszystkim beneficjenci reform Balcerowicza lub ich dzieci, przepelnieni nienawiścią klasową i poczuciem własnej wyższości wobec „roszczeniowców” i „nierobów”. Rozpłynięci w świecie bez granic, pełnym *opcji i możliwości* nie przewidzieli, że pierwszy napotkany kryzys uwidoczni bezmiar ich kłamstw, oraz to, że nie rozumieją oni świata, a tylko próbują w barbarzyński sposób przykładać do niego miary swojej wyśnionej nowoczesności i wymarzonego zerwania z polskim ciemnogrodem.

Elity są kłamstwem, propagują kłamstwo i żyją kłamstwem – taki wniosek dotarł chyba już do każdego. Elity, które nie są żadnymi elitami, ale zwykłą bandą leni, którzy chcieliby wygodnego życia za frajer powoli, krok za krokiem tracą zdolność wpływania na społeczeństwo i manipulowania nim. I jak sądzę to jeden z najbardziej pozytywnych aspektów koronawirusa.

Wasza wizja była kłamstwem, wasze wartości są pustymi sloganami, w który sami nawet nie wierzycie. Nie rozumiecie procesów rządzących tym światem ani jego mechanizmów, tym bardziej nie jesteście w stanie ich naprawić. Kolejne kompromitujące wypowiedzi Olgi Tokarczuk tylko to potwierdzają. Najwyższa pora by to nacjonałści podjęli trud wystawienia własnych elit – w pełnym tego słowa rozumieniu.

Zielona rewolucja

Największym chyba wyzwaniem naszych czasów jest walka z kryzysem klimatycznym. Wspominałem o tym w dwóch tekstach o globalnym nacjonalizmie, stąd tutaj nie będę wracał do ówczesnych konstatacji, zapewne znanych osobom czytającym niniejszy tekst. Dla nas istotne jest, że koronawirus wykazał nam jak bardzo nasze życie może ulec w szybki i właściwie prosty sposób wywróceniu do góry nogami. Dotychczasowe uporządkowane sposoby funkcjonowania ludzi zostały podważone przez wydawałoby się prostą sprawę – znany od pewnego już czasu wirus. Pytanie jak bardzo nasze życie podważy stałe wzrastanie temperatur i związane z tym skutki: powodzie, susze, tropikalne choroby, migracje ludności, problemy z rolnictwem.

Musimy zrozumieć, że paradygmat wzrostu wykładniczego musi zostać podważony, gdyż ciągły wzrost konsumpcji, produkcji i wytwarzania energetyki prowadzi do coraz poważniejszych problemów klimatycznych. Ponadto wzrost taki oparty jest w gruncie rzeczy na samo-finansującym się długu, który prędzej czy później skutkuje ogromnym kryzysem finansowym, przy którym rok 2008 to tylko niewinne pierdnięcie w mieście.

Nowe modele życia, nowy sposób życia związany ze zmniejszeniem emisji gazów cieplarnianych zarówno w wymiarze indywidualnym, jak i całej ekonomii są odpowiedzią, jaką nacjonalizm musi wypracować, by znaleźć lekarstwo na choroby naszego świata. Już teraz szacuje się, że straty środowiska naturalnego z ręki człowieka są tak duże, że aby natura powróciła do stanu pierwotnego potrzeba by miliona lat (sic!). To pokazuje skalę problemu. Gigantyczna nadprodukcja, aksjologia konsumpcji i nieliczenie się z pokoleniowymi skutkami naszych działań doprowadziły nas do momentu, że nie możemy już liczyć, że nasze problemy rozwiąże następne pokolenie, bo wówczas zwyczajnie będzie za późno.

Wspólnota lokalna

Jednym z najczęściej wymienianych skutków liberalizmu jest atomizacja i rozpad wspólnot lokalnych. Tymczasem pandemia koronawirusa przypomniła nam, jak ważne są niewielkie, lokalne społeczności. To właśnie tam najprędzej możemy liczyć na wsparcie, pomoc i kooperację. Liberalna koncepcja wolnych atomów i prymatu indywidualizmu nad wspólnotą bankrutują wraz z tym, jak wirus panuje coraz dłużej. Przypomnienie znaczenia organiczności wspólnot, które tworzy człowiek i ich charakteru to nieodzowny element uzdrowienia społeczeństwa. Ilekroć bowiem patologii wynika z faktu, iż człowiek w dzisiejszych czasach jest zwyczajnie zagubiony i samotny, nie dostrzegając w najbliższym otoczeniu jakiegokolwiek wsparcia i wartości.

Oczywiście państwo i jego wsparcie jest także niezwykle istotne (o czym już wspomnieliśmy), ale to właśnie wśród bliskich nam ludzi (w znaczeniu jak najbardziej dosłownym) najszybciej możemy liczyć na wzajemną pomoc, w rodzaju nieraz najbardziej podstawowych kwestii: zrobienia zakupów, pomocy w pracach domowych czy wspólnego dbania o mienie społeczne.

Edukacja

Wspominaliśmy nieraz o kwestii foliarstwa na prawicy. W dobie koronawirusa aspekt ten przypomina nam, jak ważna jest kwestia edukacji na odpowiednio wysokim poziomie. W okresie walki z pandemią bowiem wszelkie antyszczepionkowe bzdury i twierdzenia, że koronawirus nie istnieje są po prostu działalnością przeciwko bezpieczeństwu narodowemu. Nie byłoby to takie jednak groźne i niebezpieczne, gdyby edukacja była w stanie wykształcić u ludzi odpowiedni poziom krytycyzmu na takie treści i postawy. Tymczasem wydaje się, że wszelkie żłosne teorie spiskowe raczej rosną w siłę, niż spychane są na margines. To oczywiście efekt zarówno celowego działania części polityków i osób publicznych, jak i agentury (rosyjskiej chociażby), ale także – a może przede wszystkim – efekt kiepskiego stanu edukacji w Polsce, która nie uczy krytycyzmu, umiejętności samodzielnej oceny materiałów medialnych i krytycznego stosunku do pewnych komunikatów i schematów.

Mówienie o edukacji jest być może trywialne w Polsce, bo temat omawiany jest praktycznie non stop a właściwie niewiele się zmienia, jednak znowuż – koronawirus wykazuje jak bardzo i na tym polu musimy dokonać radykalnych i zdecydowanych działań.

Czas na zmiany

Bo jeśli nie teraz, to kiedy? Jeśli koronawirus nie jest bodźcem, który pchnie nas do wręcz fundamentalnych zmian, to co może tym być? Jeszcze większa katastrofa? Ta już czeka za rogiem, a mam tu na myśli oczywiście coraz poważniejsze skutki kryzysu klimatycznego. Sam koronawirus też zresztą mutuje, więc być może kolejne fale pandemii

poza zebraniem śmiertelnego żniwa także doprowadzą do rozpoczęcia ostatecznego fermentu.

Dobrym pomysłem na początek jest wprowadzenie chociażby gwarantowanego dochodu podstawowego – już to uderza w neoliberalne stosunki pracy i społeczne, zapewnia większy poziom równości społecznej, upraszcza szereg procedur, zwiększa pozycję negocjacyjną pracowników, a ostatecznie być może wpłynie na definitywną zmianę sposobów spędzania wolnego czasu.

Neoliberalizm nie jest powodem koronawirusa oczywiście, ale tenże wykazał jak bardzo jako ludzie i Narody jesteśmy wydrenowani i zniszczeni tą ideologią. W połączeniu z nowo-lewicowymi potworkami dostajemy w efekcie receptę na upadek człowieczeństwa jako takiego. Już dziś widzimy zatracenie tożsamości i ludzkiej świadomości na prawie każdym poziomie i w każdym aspekcie ludzkiej aktywności.

Tak być jednak nie musi. Póki żyjemy, póty jest możliwość rozpoczęcia procesu odbudowy i Rekonwisty. Niech koronawirus poza szeregiem wysoce negatywnych skutków będzie miał też ten jeden pozytywny – niech będzie bodźcem do naprawy tego świata.

Grzegorz Ćwik

Grzegorz Ćwik - Wolność słowa

Tematyka wolności słowa jest dla nas, nacjonalistów dość szczególna. Nie bez powodu przecież skandujemy na większości naszych demonstracji „wolność słowa dla nacjonalistów” albo „stop politycznej poprawności”. Hasła te wynikają z faktu ogromnego zawłaszczenia przestrzeni publicznej przez idee lewicowe i liberalne, oraz tego, że treści nacjonalistyczne, konserwatywne i ogólnie rzecz biorąc – tradycjonalistyczne, mają coraz mniejszy margines do dyskusji i prezentowania swojego punktu widzenia. Cenzurowani jesteśmy w mediach, na uczelniach, w prasie, telewizji, Internecie a nawet na ulicy. Stąd nie dziwi zarówno nasza wrogość wobec cenzury i warunkującego ją porządku ideowo-politycznego, jak i sam fakt, że tematyka ta leży w centrum naszych zainteresowań.

Dyskusja publiczna w obecnych realiach jest jednym z bardziej istotnych czynników realizacji metapolityki i wpływania na społeczeństwo i jego poglądy. Stąd temat wolności słowa i dopuszczalności, lub nie, głoszenia wszelkich możliwych poglądów są niezwykle istotne do przepracowania i wypracowania przez nasze środowisko.

Wolność słowa?

Jako alternatywę do obecnej sytuacji wiele osób widzi dopuszczenie do dyskusji wszelkich idei, poglądów i twierdzeń. Skoro obecnie mamy cenzurę i nie jest to korzystne, to na zasadzie polaryzacji i duopolu trzeba dopuścić całkowicie otwartą debatę publiczną. Tak mniej więcej wygląda

tok rozumowania części środowiska narodowego. Oczywiście plusem takiej sytuacji jest dopuszczenie nas na normalnych zasadach do funkcjonowania publicznego, jednak z drugiej strony oznacza to, że takie samo prawo przysługiwałoby choćby anarchistom, zatwardziałym libertynom lub komunistom.

Ustalmy jedną ważną rzecz: słowa mają moc. To co mówimy, jak mówimy, do kogo i w jakich okolicznościach mówmy ma gigantyczne znaczenie. W określonych sytuacjach słowa mogą zmieniać bieg historii. Czy chcemy relatywistycznie uznać, że nacjonalizm i nasza idea są równe innym nurtom, na przykład liberalizmowi, kapitalizmowi czy nowolewicowym bredniom o wszelkiej maści „ofiarach” i „represjonowanych”? Przecież jako nacjonałiści wychodzimy z prostego założenia, że to o co walczymy jest absolutnie najważniejszą kwestią spośród doczesnych. Czy logiczne i konsekwentne jest przykładowo dopuszczenie z jednej strony do debaty poglądów afirmujących tradycyjną rodzinę, a z drugiej uznanie za równorzędne propagowanie wszelkich kretynizmów spod różowej bandery lgbt? To pachnie republikańskim symetryzmem i typowo demoliberalnym uznaniem, że poglądy jako takie są sobie równe, a skoro tak niech debata publiczna wyłoni prawdę.

Zasadniczy problem w tym rozumowaniu jest taki, że prawda nie zależy od słownej szermierki i umizgów, ale od obiektywnej oceny i stałych wartości.

Prawda

Dla nas podstawowym punktem wyjścia jest to, że jako nacjonaści stoimy w obronie Prawdy. Ta jako taka nie podlega relatywizacji i nie zmienia się w zależności od stopnia popularności. To czy nasza idea i wartości są powszechne, czy jak dotąd popierane przez mniejszość nie wpływa na to, że za nami stoi to co prawdziwe, czyste, wzniosłe i piękne. Mona Lisa pozostanie arcydziełem bez względu na to czy będzie wystawiona w Luwrze, czy będzie zamknięta w archiwach muzeum. Podobnie rzecz ma się z naszą ideą.

To prowadzi do prostej, acz chyba czasem zapominanej konstatacji – poglądy, idee i ideologie nie mają tej samej wartości. Są idee dobre i złe, czyste i brudne, wartościowe i całkowicie szkodliwe. Uznając, że każda ma takie samo prawo do posiadania swojego miejsca w rzeczywistości, tym samym odbieramy sobie jakąkolwiek prawdziwość i prawdomówność. Dla nas nasze wartości i poglądy to nie jest jedna z wielu *opcji i możliwości*, które można wymieniać jak rękawiczki. Nacjonalizm to uznanie prymatu idei narodowej i wspólnotowej nad indywidualizmem, duchowości nad materializmem, rodziny nad degrengoladą czy ekonomii państwowo-syndykalistycznej nad wolnorynkową. To są nasze imponderabilia, tak więc nie ma możliwości uznania relatywnej równości z poglądami naszych wrogów.

Zasadniczym pytaniem jest też to o nasz cel. Czy chodzi nam o dominację ideologiczną i wdrożenie naszej aksjologii jako obowiązującej, czy na nigdy nie kończącej się debacie i sporze, w czasie gdy kapitaliści i wielkie konsorcja będą powoli niszczyły nasze wspólnoty i Narody?

Sądzę, że odpowiedzi na te pytania są oczywiste.

Na co nie ma zgody?

Oczywistą konsekwencją powyższych rozważań jest uznanie, że w idealnym modelu państwa, które jest państwem faktycznie narodowym i wspólnotowym, na głoszenie pewnych poglądów miejsca być nie może.

Brzmi strasznie? Totalitarystycznie? Bynajmniej. Przecież nawet obecnie Kodeks Karny i Konstytucja przewidują, że określone idee i ideologie czy ustroje nie mogą być publicznie propagowane, podobnie jak do kreślonych czynów i działań nie możemy nawoływać czy ich pochwalać. Tak więc nawet w państwie teoretycznie demokratycznym istnieją całkiem solidne progi cenzuralne.

W gruncie rzeczy samo narzędzie nie jest takie złe, po prostu jak wszystko w polskim demoliberalizmie służy ono politycznej oligarchii i wielkiemu biznesowi. Otóż w państwie nacjonalistycznym przede wszystkim zakazane powinno być głoszenie i dopuszczanie do publicznej debaty poglądów, które mogą żywotnie zaszkodzić interesom Narodu, społeczeństwa i jego stanu ideologicznego.

Tak więc wszelkie negowanie istnienia i znaczenia Narodu, tradycyjnego modelu rodziny, ochrony życia od narodzin do naturalnej śmierci musi być uznane za niedopuszczalne. Czy wyobrażamy sobie sytuację, że jednocześnie po Przełomie w debacie publicznej uczestniczyć będą normalni ludzie o narodowych poglądach i np. zwolennicy tzw. „aborcji”?

Widzimy od początków XX wieku, a zapewne zjawisko sięga czasów jeszcze wcześniejszych, że szkodliwe i trujące poglądy, jeśli tylko pozwolimy im na obecność w przestrzeni publicznej, szybko rozpoczną proces rozkładu najbardziej nawet zdrowego i świadomego społeczeństwa. Czy wynika to z ludzkiej słabości, czy z jakichkolwiek procesów psychologicznych nie miejsce tu ustalać. Dla nas istotny jest fakt, że

Szkoła Frankfurcka i cała fala liberalizmu po roku 68, jak i przed nim, mogły w tak ogromny sposób wydrenować Zachód, między innymi dlatego, że im na to pozwolono. Po roku 1945 uznano niejako *a priori*, że złe są tylko idee faszystowskie i narodowo-socjalistyczne, a cała reszta może funkcjonować na marginesie życia publicznego. Z czasem margines stał się istotnym elementem, a dziś głównym nurtem.

Wszelkie więc ojkofoiczne i podszyte nienawiścią do własnej tożsamości poglądy nie mogą mieć zwyczajnie prawa do swego miejsca w przestrzeni publicznej. Podobnie wygląda kwestia z tym, co niezgodne z nauką i jej podstawowymi konstatacjami. Płeć to nie żaden konstrukt, mężczyźni różnią się fizycznie i psychologicznie od kobiet (i nie ma w tym nic złego), a między poszczególnymi rasami ludzi występują daleko idące różnice. Wszelkie negowanie tego powinno wywołać u nas od razu sygnał alarmowy. Oczywiście, mam świadomość, że świat nauki przeżarty do cna jest liberalną i lewacką politpoprawnością, stąd w pewnych kwestiach z dużą dozą rezerwy i krytycyzmu podchodzić trzeba do jego ustaleń. Nie zmienia to faktu, że postulat o niedopuszczalności poglądów stojących w rażącej sprzeczności z naukowymi ustaleniami powinien dotyczyć także wszelkich antyszczepionkowych bzdur i innych foliarskich dureństw. W dobie koronawirusa szczególnie widać jak bardzo takie poglądy mogą być szkodliwe i groźne.

Wychodząc z założenia, że wartości jak Naród, rodzina, wspólnota lokalna, Europa, jedność kulturowo-etniczna etc. są dla nas absolutnymi filarami światopoglądu i wypływają z Prawdy, wszystko co je neguje i podważa powinno być uznane *a priori* za niewłaściwe.

Śmierdzi zamordyzmem? No cóż, gdyby Europa kilka dekad temu wykazała się odpowiednią dozą zamordyzmu, dziś żylibyśmy w lepszym i normalniejszym świecie.

Formy i metody

Co do tego jak dbać o wyłączenie określonych kwestii z dyskusji publicznej w modelu państwa nacjonalistycznego, to oczywiście kwestie pozostaje otwarta. Wydawałoby się, że w świecie cyfryzacji, która wręcz galopuje zagadnienie jest trudne i skomplikowane, jednak zarówno przykład państw niedemokratycznych (Chiny) jak i demokratycznych (USA, Niemcy, Izrael, Wielka Brytania) pokazuje, że i sferę internetową objąć można taką czy inną formą nadzoru. Tyczy się to zarówno osób kontrolujących te treści, jak i określonych algorytmów i metod opartych o nauczanie maszynowe.

W kwestii medialnej oczywiście fakt istnienia mediów państwowych jak i ostatnie przejęcie sektora mediów lokalnych przez państwowy koncern niesamowicie ułatwia odpowiednie zdrowe i normalne ustawienie dyskusji.

Zresztą – pamiętajmy, że i dziś (jak już wspomniano wyżej) są rzeczy, które prawnie są niedopuszczalne i cenzurowane. Tak więc określone narzędzia prawne i metody działania państwo posiada, pozostaje tylko kwestia co uznać za niewłaściwe i groźne dla społeczeństwa. Rzekome propagowanie „faszyzmu”, czy może propagandę śmierci, upadku i nihilizmu, jaka toczy już otwarcie ciało Europy i właściwie całego zachodniego świata. Tu warto wspomnieć, że nie chodzi tylko o aborcję czy postulaty lgbt, ale chociażby propagowanie spożywania narkotyków, alkoholu czy rozwiązłości seksualnej.

Zakończenie

Raz po raz o tym powtarzamy w „Szturmie”, więc i w niniejszym tekście pozwolę sobie przypomnieć: naszym wrogom nie chodzi o żadną wolność, swobodę dyskusji i wolność słowa. Celem naszych wrogów jest wyrugowanie wszystkiego co na prawo – a pod tym terminem rozumieją oni nie tylko „faszyzm” i „ekstremizm”, ale w gruncie rzeczy każdą myśl o charakterze konserwatywnym. Każdy kto dziś mówi o tym, że istnieje płęć biologiczna, albo że multi kulti to kłamstwo staje się *ex definitione* przestępcą ideologicznym, który usunięty pozostaje poza nawias dopuszczalności. To nie jest tak, że Krzysiu Bosak albo Robert Bąkiewicz kolejnymi umizgami dojdą do momentu, gdy będą w końcu akceptowani. Nie – sam fakt bycia w jakiegokolwiek kontrze do *nowoczesnego świata* wystarcza jego pretorianom do usuwania nas ze strefy publicznej. Ich ostatecznym celem jest bowiem absolutna hegemonia ideowa i dekonstrukcja oraz zniszczenie każdej płaszczyzny tożsamości i świadomości człowieka. Wówczas pozostanie *konsument* – wyśniony nowy człowiek doby posthumanizmu.

Nie widzę więc absolutnie żadnego powodu, aby środowisko nacjonalistyczne miało w jakikolwiek sposób popierać pełną wolność słowa. Najważniejsza w ostateczności jest Prawda, porządek, czystość i piękno, a to wszystko zdecydowanie zawiera się w ramach wartości, które bronimy i dla których chcemy przywrócić Europę. W Europie tej nie powinno być miejsca na fałsz, obłudę, ojkofobię i histeryczną nienawiść do samego siebie.

Grzegorz Ćwik

Grzegorz Ćwik - Yo Dre! I got something to say!

Idea nacjonalistyczna jako element, do którego poczuwa się w sposób świadomy i aktywny jest dziś mało popularna. To oczywiście żadne odkrycie. O ile pewne aspekty nacjonalizmu zachowują żywotność w społeczeństwie (patriotyzm, póki co konserwatyzm moralny), o tyle nacjonalizm jako kompletna ideologia jest dziś marginesem. Powodów tego jest dużo, zarówno zewnętrznych (niezależnych od nas), jak i wewnętrznych (zależnych od nas i naszych działań). Jednym z największych i najbardziej dojmujących w skutkach jest praktycznie brak nacjonalistycznej kultury popularnej. Nie mamy swoich artystów, nie mamy muzyków, pisarzy czy filmowców, którzy byliby naszym głosem i w sposób popularny docierali do odbiorców z taką czy inną formą idei narodowej.

A skąd ten tytuł? To słowa z filmu „Straight outta Compton”, który opisuje losy amerykańskiej grupy rapowej N.W.A. (skrót od „Niggaz Wit Attitudes”). Jednym ze sztandarowych kawałków grupy był protest song „Fuck the police”. Przed jednym z koncertów w Detroit policja zakazała grupie wykonywania publicznie tego utworu, wcześniej także władze federalne o to apelowały drogą administracyjną. Co zrobiła grupa niepokornych raperów? Oczywiście w trakcie koncertu najpierw powiadomili ze sceny słuchaczy o prośbie policji, a następnie wykonali rzeczony utwór. Zwrotki Ice Cube’a poprzedzone zostały właśnie zawołaniem „Yo Dre! [Dr. Dre – jeden z członków grupy] I got some to say!”.

Czemu o tym wspominam? Otóż zasadniczym problemem idei narodowej jest to, że nie mamy tego typu buntowniczych, a jednocześnie trafiających

do młodych ludzi zespołów i artystów, którzy czy świadomie, czy podświadomie propagowali nasze wartości.

Można rapu słuchać, można nie słuchać, ale uświadomić sobie musimy, że hiphopowe zespoły grające na przełomie lat 80-tych i 90-tych wykonały niesamowita robotę dla emancypacji czarnoskórej ludności USA. Być może nie byłoby ruchu BLM, albo miałyby mniejszy zasięg, gdyby 30 lat temu nie było N.W.A., Public Enemy, 2Paca, Nasa i wielu innych projektów muzycznych. Wbrew prawackiej propagandzie czarnoskóra ludność to nie tylko złodzieje i dilerzy (choć niewątpliwie ich nadreprezentacja jest wśród nich znaczna), ale także sztucznie swego czasu marginalizowana i pauperyzowana kategoria obywateli, którzy mieli ponosić koszty reaganowskiego neoliberalizmu. Tworzenie gett, sztuczne zaniżanie wydatków w nich na cele społeczne i socjalne, gorsze traktowanie przez system prawny, celowe zalewanie gett przez narkotyki – w efekcie rodziło to bunt, a bunt ten znalazł całe swe ujście właśnie w muzyce. Hiphop, który funkcjonował od około 10 lat w końcówce lat 80-tych nie posiadał jeszcze w pełni wykształconych projektów, których celem byłoby m.in. komentowanie i krytykowanie rzeczywistości społecznej i politycznej.

Pojawienie się N.W.A. czy Public Enemy zmieniło diametralnie sprawę, a fakt że ci ostatni byli inwigilowani przez FBI przypomina nam zabawy ze służbami na krajowym podwórku. Jednoznaczna krytyka biedy, ubóstwa i policyjnej niesprawiedliwości, wytykanie kłamstw oficjalnej medialnej propagandzie (legendarny kawałek Public Enemy „Don't believe the hype!”), a wszystko to podane w dynamiczny, przebojowy sposób na innowacyjnych wówczas podkładach. Nie bez powodu Dr. Dre z N.W.A. stał się szybko jednym z najbardziej popularnych producentów na świecie, a jednocześnie... najlepiej zarabiającym.

Dotychczas praktycznie pozbawieni głosu uzyskali ogólnokrajowe przekąźniki, które mówiły ich językiem, o ich problemach i ich wizji świata. Z punktu widzenia społecznego to była absolutna rewolucja. Oczywiście N.W.A. ciężko uznać jednoznacznie za trybunów ludowych, bo dziewczyny, alkohol, prochy i imprezki też były stałym elementem ich twórczości, jednak już wypadku Public Enemy praktycznie 100% przekazu skupiało się na sprawach istotnych. Niedługo potem na scenie pojawia się kolejna legenda – 2Pac, który nie tylko krytykuje rasizm, kapitalizm, nierówności społeczne, ale nie szczędzi też słów krytyki samej ludności czarnoskórej. Samemu znając problem z autopsji rapuje o tym, że czarni jednak zbyt chętnie biorą się za gangsterkę, dilerkę, przemoc, używki. Słysząc to chociażby w znanym kawałku „Changes”, który dziś jest głównie wspomniany ze względu na słowa „Nie jesteśmy jeszcze gotowi na czarnego prezydenta”. 2Pac zresztą odniósł chyba jeszcze większy sukces, głównie za przyczyną tego, że jego rap był bardziej melodyjny, bardziej poetycki i po prostu łatwiej było to pokazać zwykłemu obywatelowi.

Zamieszki, które wybuchły w roku 1992 w Los Angeles w dużej mierze warunkowane były właśnie przez falę ogromnej popularności ówczesnych wykonawców hiphopowych. Otóż jakiś czas wcześniej nagrano jak policja katuje bezlitośnie niestawiającego oporu czarnoskórego. Za sprawą N.W.A. i innych raperów sprawa została rozpropagowana, a gdy sąd oczywiście uniewinnił sprawców brutalnego pobicia na ulice wyległy tysiące ludzi. Ludzi, którzy skandowali i pisali po ścianach m.in. wersy i fragmenty utworów swoich ulubionych wykonawców. Czy bez rapu, a przynajmniej tego zaangażowanego, doszłoby do tego a przynajmniej w tak szerokiej i wielodniowej formule? To pytanie nie jest łatwe, ale wydaje się, że spokojnie można uznać, że nie. Paralela między tą sytuacją (pobiciem czarnoskórego) a zachowaniem policji na Marszach Niepodległości, choćby słynne nagranie z kopania uczestnika przez tajniaka na Krakowskim Przedmieściu, jest symptomatyczna.

Niestety! Nacjonalizm nie doczekał się takich artystów i twórców. Mamy i mieliśmy oczywiście bogatą scenę muzyki tożsamościowej, ale to głównie przekonywanie przekonanych. Przeważająca większość takiej twórczości po prostu jest niekompatybilna z gustami i estetyką zwykłego człowieka. A pomyślmy, co by było, gdyby np. w roku 1998 obok Paktofoniki i Molesty czy Zip Składu karierę rozpoczął podobny zespół, ale grający kawałki o tematyce narodowej, społecznej, politycznej? Przecież wspomniane zespoły to legendy, o których kręci się dziś filmy dokumentalne, a ich wersy zna każdy chłopak z osiedla. Wpływ muzyczny i kulturowy ich także jest trudny do przecenienia. Oczywiście, projektu takiego ani wówczas nie doczekaliśmy, ani dziś nie widać zwiastuna takowego. Bardzo dobrze zapowiadający się CR zakończył karierę po pierwszej płycie w oparach skandalu, a był to chyba jedyny raper jakiego środowisko nacjonalistyczne mogło ze spokojnym sercem polecić zwykłemu odbiorcy. Pozostali wykonawcy są albo za słabi muzycznie, popadając niekiedy w asłuchalność, albo zbyt hermetyczni.

Abstrahując od rapu – także w innych gatunkach nie doczekaliśmy się swoich bardów i orędowników idei. A warunki były i są, czego dowodzi kariera i niesłabnąca popularność KSU. Śmiejecie się z „Jabol punka”? Każdy kto słuchał płytę, z której pochodzi ten kawałek – debiutancki „Pod prąd” wie, że to jedyna taka kompozycja na krążku, a cała reszta to twarda, mocna i bezpardonowa krytyka rzeczywistości późnego, szarego PRL-u.

KSU zresztą do dziś kontynuuje swoją misję, czego dowodzi ostatnia ich płyta „Dwa narody”. Mniej punkowa, bardziej rockowa i melodyjna, cały czas jednak załoganci z Bieszczad nie boją się trudnych i ważkich problemów. Co ciekawe w swej analizie i opisie rzeczywistości zbliżają się mocno do pozycji jeśli nie narodowych, to przynajmniej patriotycznych, czego zresztą nie może im wybaczyć część młodego pokolenia kinder-

punków. Starczy wspomnieć, że KSU zagrało na koncercie z okazji... dnia Żołnierzy Wyklętych.

Wracając do rapu – ciekawe, że nie tylko nacjonaści, ale nawet samo środowisko hip-hopowe nie wykształciło poważnych projektów muzycznych, które brałyby tematy polityczne i społeczne na tapetę. Oczywiście, takie rzeczy były czasem przewijane, ale generalnie królowała nawijka o sprawach osiedlowych, biedzie, codziennym życiu i zabawie w różnej postaci. Analiza polityczna zwykle zamykała się w uznaniu wszystkich polityków za złodziei.

Problem, który nas interesuje jest zresztą szerszy. Spójrzmy na inny gatunek – literaturę. Tu podobnie: nie ma w Polsce właściwie popularnych pisarzy, o których moglibyśmy spokojnie powiedzieć, że to nacjonaści. Co gorsza – dziedzina literacka właściwie całkowicie została pominięta i odpuszczona w działalności narodowej.

Są bowiem przecież pisarze, którzy w swej narracji i poglądach mocno zbliżają się do pozycji narodowo-radykalnych, zwłaszcza w kwestii krytyki nowoczesnego świata. Weźmy choćby fantastykę: Jacek Piekara, Jacek Komuda, Tomasz Kołodziejczak. Ilu nacjonalistów zna ich twórczość? A co dużo ciekawsze. Czemu, gdy Jacek Piekara zaczął się sadyżić w Dorotę Wellman o swojego twitta na jej temat nie uzyskał absolutnie żadnej pomocy ze środowiska narodowego, nawet w postaci social-mediowej akcji solidarystycznej? A przecież ten konflikt jednoznacznie wpisuje się w walkę tradycji z postnowoczesnością. Czemu, gdy w tym roku spadły gromy lewackie na Jacka Komudę za rzekomo homofobiczne opowiadanie w „Nowej fantastyce” także nie zareagowaliśmy? A ile osób metapolityczny cykl „Ostatnia Rzeczpospolita” Kołodziejczaka uważa za obowiązkowy element formacji intelektualnej? Zresztą, Kołodziejczak już na początku lat 90-tych krytykował bezlitośnie liberalizm i nowoczesność, a część jego opowiadań o tematyce aborcyjnej, eugenicie

czy eutanazji była wysoce zgodna z tym, co możemy dzisiaj obserwować. Polecam każdemu sprawdzić jego tom „Wstań i idź” – i sprawdzić daty publikacji jego opowiadań z tego kręgu tematycznego. I co? Ano nic, nikt nie wpadł na pomysł, żeby takimi ludźmi się zainteresować, choćby zaprosić na prelekcję, odczyt czy spotkanie. A możliwości są naprawdę tutaj duże, bo fantastyka cały czas jest w dużej mierze konserwatywna. To, że ludzie ci często są zwolennikami PiS-u jest akurat bardzo łatwe do wyjaśnienia. A czyimi zwolennikami mają być i co mają popierać, skoro nikt poza PiSem do nich nie dociera i nie trafia?

W ogóle fantastyka polska lat 90-tych potrafi wzbudzić niemałe zdumienie trafnością swoich przewidywań i obserwacji. Rafał Ziemkiewicz zanim kompletnie się pogubił na scenie publicznej popełnił absolutnie genialny „Pieprzony los kataryniarza”. Chcesz wiedzieć jak wyglądała III RP doby połowy 90-tych? Przeczytaj tę książkę. Jaka pustka duchowa idzie za neoliberalizmem? Proszę bardzo – „Zabijcie Odkupiciela” Grześka Drukarczyka, książka w każdym calu świetna, trafna i bez happy endu – jak cały liberalizm. Przykładów można by mnożyć, a każde kolejne nazwisko to człowiek, którym mogliśmy się zainteresować i tego nie zrobiliśmy. Nawet taki Andrzej Pilipiuk, znany z powołania do życia Jakuba Wędrowycza, związany jest z kolibrami a nie nami. I to chyba przy niewielkim zaangażowaniu samych kolibrów, ale też przy całkowitym pominięciu takich ludzi przez nas.

Nie było by korzystnie dla nas, gdyby milionowe wyświetlenia na youtube miały kawałki raperów czy twórców innych gatunków, ale poruszające określone tematy z naszego punktu widzenia? Nie byłoby interesujące, żeby do czytelnika trafił cykl jak „Stalowe szczury” Gołkowskiego, ale np. o Narodowych Siłach Zbrojnych? Nie da się przecenić znaczenia popkultury i jej wpływu na społeczeństwo. A pamiętajmy, że raz rozpoczęty nurt szybko znajdzie kolejnych wykonawców i naśladowców. N.W.A. od dawna nie ma, Public Enemy zeszło w absolutną niszę, a KRS-

One wydaje kolejne płyty, które przechodzą bez echa, ale za to jednymi z najpopularniejszych raperów, wręcz ikon, są dziś Kendrick Lamar czy Fashawn. Sprawdźcie w wywiadach kim się inspirowali, czego słuchali w młodości, kogo chcieli naśladować. Raz zasiane ziarno szybko da nowe drzewa, a im dłużej trwa proces, tym gęstszy i większy jest las. My niestety poniechaliśmy takich działań, nie byliśmy lub nie widzieliśmy potrzeby wykształcenia w naszych szeregach takich osób, przez co w przestrzeni publicznej są artyści lewicowi, liberalni, anarchiści, socjaliści, PiSowcy, konserwatyści, korwiniści, tylko nacjonalistów nie ma.

„Wysil umysł To prosta sprawa

Ten co głos ma tu dostaje brawa

Zatem gdy męczy nawał głupot

Krzycz, byle z sensem, ludzie to kupią

Może pójda grupą za Tobą

To nie jest bujda tak działa słowo

Tutaj to nowość, ale bądź pewien

Cisza nie krzyknie za Ciebie”

Grzegorz Ćwik

Monika Dębek - Praca nad sobą w życiu nacjonalisty

Człowiek rodzi się w określonej rodzinie, środowisku, w regionie, w kraju. To właśnie rodzina jest podstawą życia indywidualnego każdej istoty ludzkiej. Kontakty z rodziną odgrywają bardzo ważną rolę w kształtowaniu się osobowości człowieka. Prawidłowo funkcjonujące środowisko rodzinne jest w stanie zaspokoić każdą potrzebę ludzką za równo te bardzo podstawowe, kończąc na tych na bardzo wysokim poziomie. To czego się w nim nauczymy, potrafi przynosić skutki nawet w życiu dorosłym, czy nawet w starości. Kontakty z innymi członkami kształtują charakter ludzki.

Sami wiemy dobrze, że każdy z nas wychował się w różnych środowiskach. Wielu z nas miało szansę wychowywać się w normalnym środowisku rodzinnym, pełnym miłości, szacunku i zaangażowania ze strony dorosłych. Pewnie jednak część z nas wychowała się w niepełnych rodzinach, czy nawet w tych patologicznych. Trudne dzieciństwo zostawia ślady na całe życie.

Nie tylko środowisko rodzinne może spowodować poważne destrukcje w naszym życiu. Wpływ na nas ma także szkoła, rówieśnicy, towarzystwo a często także życie uliczne. Młodzież często wpada w różnego rodzaju gangi, bandy, czy nawet gangi, które w efekcie mogą doprowadzić do popełniania przestępstw.

Niezależnie od tego, jaka jest nasza przeszłość, na którą nie do końca mieliśmy wpływ, ponieważ to inni decydowali i podejmowali decyzje za nas, jako dorośli, mamy swoje życie w swoich rękach i sami możemy tworzyć rzeczywistość oraz budować swoją lepszą przyszłość.

Praca nad sobą jest bardzo ważna. Dla każdego nacjonalisty jest wręcz obowiązkiem. W tym miejscu ktoś może powiedzieć, że nie ma czasu, że nie ma nad czym pracować lub, że to wszyscy w koło są źli. Prawdziwy nacjonalista nigdy jednak nie powie, że nie ma w jego życiu elementów do poprawy i nie będzie też szukać wkoło winnych. Skupi się jednak na swoich wadach i pracy nad własnymi słabościami.

Od czego zacząć pracę nad sobą?

Najlepiej od samozaparcia. Nie jest to proste zadanie. Ciężko jest czasami spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać się do własnych błędów wcześniej przez nas popełnionych, jednak tylko samokrytyka może sprawić, że ruszymy z miejsca.

Na rynku czytelnicy istnieje wiele ciekawych pozycji na temat pracy nad sobą. Nie trzeba kupować lub pożyczać wszystkich od razu. Wystarczy na samym początku skupić się na zaledwie kilku i przeanalizować to co tam jest napisane. Nacjonalista musi także czytać literaturę związaną z ideą. Żeby być dobrym narodowcem, trzeba wiedzieć o podstawach tej idei, poznać jej historię, zasady, teorię, założenia itd. Nacjonalista to człowiek głodny wiedzy i pragnący czytać i dowiadywać się coraz to więcej i więcej. Nigdy niespoczywający na laurach.

W pracy nad sobą ważna jest także rozmowa z innymi osobami. W przypadku nacjonalisty rozmowa ze starszymi stażem działaczami czy nawet tymi autonomicznymi nacjonalistami. W każdym razie z osobami, które działają w środowisku dłużej i które mogą podzielić się z nami swoimi doświadczeniami.

Do każdej rozmowy trzeba podchodzić z pokorą. Na początku swojej działalności nie jest łatwo wysłuchiwać krytycznych słów na temat

swojego zachowania, czy charakteru. Żeby ruszyć jednak z miejsca skromność i słuchanie autorytetu jest jednak konieczne. Trzeba jednak uważać, nasza duma i często pycha może tutaj wygrać. W efekcie czego, zamiast się rozwijać, staniemy w miejscu. Nie warto mścić się na innych ludziach, nawet jeśli słyszymy od nich gorzką prawdę. Warto wyciągnąć z tego własne wnioski.

W pracy nad sobą, w życiu nacjonalisty ważne jest także ryzyko. Strach to naturalne uczucie u każdej osoby. Zadaniem naszym jest przewyciężanie jego i niepoddanie się złym emocjom. W środowisku zawsze możemy liczyć na wsparcie innych ludzi. Pamiętajmy też, że aby się rozwijać musimy ciągle podejmować nowe wyzwania. Nie jesteśmy sami, idziemy tą samą drogą.

W trudnych chwilach, których przeżyliśmy już pewnie wiele i których czeka nas, jeszcze cała masa ważna jest także modlitwa. Ona umacnia nas w naszej wierze i dodaje siły w ciężkich momentach. Ona pozwala nam na kontakt z wyższą mocą.

Podsumowując praca nad sobą, własnym charakterem, jest bardzo ważna. Jeśli nie podejmiemy ciężkiego wysiłku, nasze życie stanie się monotonne i rutynowe. Życie nasze będzie szare i rutynowe, pozbawione najpiękniejszych barw i słońca.

Pamiętajmy, że jeżeli chcemy zmieniać Polskę, walczyć dla niej, podejmować pracę u podstaw, równolegle musimy pracować nad sobą. Sposób jest bardzo wiele. Każdy człowiek niezależnie od tego, jaki jest, od swojego temperamentu znajdzie tutaj najlepsze rozwiązanie dla siebie. Ważne, że gdy zobaczymy pierwsze efekty nie spoczywać na laurach a w dalszym ciągu myśleć nad dalszymi działaniami. Tylko tak możemy budować Wielką Polskę.

Jarosław Ostrognew - Pięciu poetów, których powinien znać każdy nacjonalista

Poezja w Polsce nie jest popularna – stwierdzenie to odnosi się zarówno do polskiego społeczeństwa, jak i do środowiska polskich nacjonalistów. Większość Polaków, również polskich nacjonalistów, po prostu nie lubi poezji, nie czyta jej, a ostatni kontakt z nią miała w szkole. Przyczyną takiego stanu rzeczy jest to, że poezja uchodzi za nieprzystępną. Jest to w dużej mierze wina poezji współczesnej, zwłaszcza polskiej poezji współczesnej, która skupia się na nudnych i wtórnych eksperymentach formalnych, dążąc do stworzenia jak najbardziej udziwnionego wiersza, który może zainteresować tylko krytyków... lub samych współczesnych poetów. To skupienie się na aspektach formalnych i niedocenie treści czy samego przekazu w poezji wynika z prostego faktu – większość współczesnych poetów nie ma nic ciekawego do powiedzenia.

Kolejnym powodem takiej złej opinii o poezji jest „omawianie wierszy” na lekcjach języka polskiego – większość nauczycieli (zgodnie z zaleceniami dydaktycznymi) skupia się na aspekcie formalnym wiersza („Jakich środków wyrazu użył poeta?”) oraz na interpretacji poezji w kontekście historycznym („Co poeta miał na myśli?”). Nie tędy droga – takie czytanie poezji może jedynie do niej zniechęcić i jest interesujące tylko dla historyków literatury. Czytanie poezji powinno sprawić, że poczujemy, zobaczymy, czy pomyślimy coś więcej czy inaczej – poezja powinna otwierać nam oczy na rzeczy dotychczas ukryte. Dlatego najważniejsze jest, żeby poezja do nas przemawiała, żeby sprawiała, że rzeczywiście będziemy chcieli ją czytać – aspekt formalny czy historyczny jest tutaj naprawdę drugorzędny.

Polscy nacjonaści nie pałają miłością do poezji z jeszcze jednego powodu – z powodu odium poezji jako zdominowanej przez lewicę i liberałów. Rzeczywiście, większość współczesnych polskich poetów (którzy nota

bene są niezbyt zdolnymi poetami, natomiast bardzo zdolnymi grantobiorcami) ma lewicowe odchyły. Ale poezja jako taka nie jest lewicowa – oczywiście lewicowi krytycy fałszują historię poezji, przemilczają nie-lewicowych twórców, lub udają, że ich poglądy właściwie nie miały nic wspólnego z twórczością itd. Jednak prawda jest taka, że wielu poetów – także tych najbardziej wybitnych – miało poglądy nacjonalistyczne, czy chociażby konserwatywne (ale w stylu starego konserwatyizmu), a ich twórczość jest obecnie chętnie czytana nawet przez ludzi o całkowicie odmiennych poglądach.

W niniejszym krótkim eseju przedstawię pokrótce pięciu poetów, którzy byli w ten czy inny sposób związani z nacjonalizmem, a ich twórczość może i powinna zainteresować polskich nacjonalistów.

William Butler Yeats (1865-1939)

William Butler Yeats był irlandzkim poetą, dramaturgiem, prozaikiem, eseistą i – trochę wbrew sobie – działaczem. Często nazywany jest ostatnim europejskim romantykiem – rzeczywiście jego twórczość zarówno pod względem formy jak i treści ma wiele wspólnego z romantyzmem, mimo że z samych dat narodzin i śmierci wynika, że chronologicznie nie przynależał on do tej epoki.

W.B. Yeats był związany z szerszym ruchem celtyckiego odrodzenia, którego celem było doprowadzenie do duchowego przebudzenia Irlandczyków i stanowiło metapolityczny poziom walki o odzyskanie niepodległości przez Irlandię. Irlandzka tożsamość najczęściej kojarzy się z katolicyzmem, ale W.B. Yeats oraz inni przedstawiciele tego ruchu szukali starszych korzeni irlandzkiej duchowości – właśnie w mitologii i religii celtyckiej, które miały z jednej strony odróżniać Irlandczyków od

pozostałych narodów, a z drugiej stanowić pewną płaszczyznę porozumienia z nimi. Sam W.B. Yeats nie był katolikiem, wywodził się ze znamienitej rodziny irlandzkich protestantów i ostrzegał – jak się z perspektywy czasu okazało: słusznie – że oparcie odrodzonej Irlandii bezpośrednio na katolicyzmie doprowadzi do pęknięcia narodu i kraju. Dzisiaj wydaje się oczywiste, że w Irlandii katolicy są zwolennikami niepodległości, a protestanci unii z Wielką Brytanią, jednak wielu słynnych Irlandczyków było protestantami i do czasu popierało niepodległość swojej ojczyzny. Właśnie celtycka tożsamość miała umożliwić zjednoczenie całego narodu: zarówno katolików jak i protestantów, a także tych niezaangażowanych religijnie.

W twórczości W.B. Yeatsa jest wiele odniesień właśnie do celtyckiej duchowości, zwłaszcza w jego dramatach i opowiadaniach, w których wykorzystuje postacie i motywy z mitologii czy podań ludowych. Jego poezja jest całkowicie osadzona w jego irlandzkiej tożsamości, ale z drugiej strony porusza on w niej tak różnorodne tematy i problemy, że rzeczywiście staje się ona uniwersalna i może przemówić do wszystkich Europejczyków. I tak jego najbardziej znane wiersze dotyczą starości, przemijania i trwania kultury (*Sailing to Byzantium*), Powstania Wielkanocnego i przemiany, którą w ludziach wywołują wielkie wydarzenia (*Easter, 1916*) czy miłości rodzicielskiej (*A Prayer for my Daughter*). W.B. Yeats był również głęboko religijnym i uduchowionym człowiekiem, interesował się mistycyzmem, a jego poszukiwania duchowe stanowią bardzo ważny element jego twórczości (najbardziej znany wiersz o tej tematyce to *The Tower*). Niezwykle ciekawy jest jego ostatni wiersz i testament *Under Ben Bulbin*, w którym przywołuje chwałę dawnej Irlandii i wzywa Irlandczyków do duchowego i narodowego przebudzenia, a także widzi nadzieję na odrodzenie narodu w... eugenicie.

Równie ciekawa co twórczość W.B. Yeatsa jest jego biografia – jego zaangażowanie w ruch irlandzki ruch narodowy, w ruchy mistyczne i okultystyczne, czy w życie irlandzkiej i brytyjskiej bohemy artystycznej.

W jego biografii pojawiają się takie ciekawe epizody jak zaangażowanie polityczne (które przyniosło mu rozczarowanie tą sferą życia), tragiczny i niespełniony romans z irlandzką aktorką Maude Gonne, próba nawiązania kontaktu z „wyższą rzeczywistością”, próba stworzenia domu rodzinnego w odrestaurowanej średniowiecznej baszcie, czy udział w działalności różnych stowarzyszeń duchowych.

W.B. Yeats był wybitnym poetą, nacionalistą i mistykiem, a jego twórczość doczekała się rzeczywistego uznania, gdy otrzymał on literacką nagrodę Nobla – jednak co najważniejsze, jest on do dzisiaj (zwłaszcza w świecie anglojęzycznym) uznawany przez wielu czytelników za ich ulubionego poetę. Wynika to z faktu, że jego twórczość nie jest kosmopolityczna, ale z drugiej strony porusza on ze swojej wyjątkowej perspektywy ponadczasowe problemy. Co więcej – W.B. Yeats pisał w romantycznym stylu, jego wiersze posiadają piękny i zapadający w pamięć rytm, ale jednocześnie nie wpadał w banał, a także pisał w elegancki i precyzyjny sposób, bez zbędnej kwiecistości czy formalnych uduwnień. Jego poezja jest idealna nawet dla ludzi, którzy nie czytają wiele poezji, a zwłaszcza dla tych, którzy chcą dopiero w świat poezji wejść.

W języku polskim ukazało się sporo przekładów poezji W.B. Yeatsa i warto sięgnąć po książkowe wybory jego wierszy. Ukazał się również wybór jego opowiadań *Hanrahan Rudy*, które stanowią wspaniałe uzupełnienie jego twórczości i polecam je zwłaszcza tym, którzy interesują się mitologią i folklorem.

Ezra Pound (1885-1972)

Ezra Pound był amerykańskim poetą, który zawędrował najpierw do Francji, a następnie do Włoch, z którymi związał swój los – na dobre i na złe. Jak powszechnie wiadomo (zwłaszcza w naszych kręgach) Ezra Pound poparł włoskich faszystów, wygłaszał po angielsku radiowe

przemowy do amerykańskich żołnierzy atakujących jego przybraną ojczyznę, został przez nich aresztowany i zamknięty w klatce dla goryla, potem przewieziony do Stanów Zjednoczonych, gdzie uznano go za niepoczytalnego i osadzono w szpitalu psychiatrycznym, a po zwolnieniu ze szpitala wyjechał do Włoch, gdzie wciąż tworzył poezję, ale już nigdy więcej nie zaangażował się w życie publiczne.

Ezra Pound jest dość powszechnie uważany za jednego z największych (o ile nie największego) innowatora dwudziestowiecznej poezji. Był to człowiek, który znał się na wszystkim i wszystkim się zajmował – przekładał poezję trubadurów, wykładał literaturę średniowieczną, tworzył alternatywną teorię poezji, zmieniał kanon literatury klasycznej czy europejskiej filozofii, boksował się z Ernestem Hemingwayem, propagował nowe teorie ekonomiczne, zwalczał lichwiarstwo, opracowywał przekłady literatury chińskiej, a co najważniejsze – pisał. Pisał zarówno poezję jak i eseje. Niektórzy zarzucają mu, że jego wiedza na te wszystkie tematy była niezwykle powierzchowna i był w gruncie rzeczy bardzo odważnym dyletantem. Jednak tę powierzchowność nadrabiał brawurą i jego teorie być może nie zawsze są mocno ugruntowane w faktach, ale za to porywające i wyłożone z inspirującą werwą. Co najważniejsze – jego wszechstronne zainteresowania doprowadziły do powstania jego poezji, która czerpie ze wszystkiego i próbuje wpłynąć na wszystko.

Trzeba to od razu powiedzieć – poezja Ezry Pounda nie należy do najprostszyc i dla czytelnika, który dopiero wchodzi w świat poezji może być trudna do zrozumienia. Polecam zacząć od jego twórczości z okresu jego związków z imagistami (a także od poezji pozostałych imagistów) i dopiero potem przejść do jego późniejszych dzieł, w tym do *Pieśni*. No właśnie – *Pieśni*... Opus magnum Pounda, jego próba stworzenia dzieła totalnego, pewnego apogeum poezji zachodniej, które miało być o wszystkim i dla wszystkich. Czy mu się powiodło? Według samego Ezry Pounda – nie. Ale cytując jego samego: osądźcie sami. Największym

atutem i największym balastem *Pieśni* jest właśnie wszechstronna erudycja autora, który takiej samej wszechstronnej wiedzy wymaga od swojego czytelnika. Jeżeli ktoś zna biegle angielski, najlepiej jest po prostu zakupić wydanie zbiorowe *Cantos*, do tego *Companion* – i zasiąść do czytania z tym krytycznym przewodnikiem. Ale zaznaczmy od razu, to lektura na lata, w której kolejny odkryty fakt z życia artysty, kolejny przeczytany przypis, kolejne powiązanie z innym utworem poety pozwalają nam odczytać tę samą pieśń na nowo. Mnie osobiście *Cantos* wciągnęły do takiego wielokrotnego czytania, wracam do nich, szukam, odkrywam, odkładam na dłużej i znów wracam. Wspaniała przygoda dla poszukiwaczy, polecam spróbować wszystkim zaawansowanym miłośnikom literatury i kultury.

Poezję Pounda trudno zrozumieć, ale nie pozostawia ona obojętnym – co ciekawe, potrafił on pisać bardzo prosto, przemawiając nawet do mniej biegłego czytelnika, w czym chyba objawia się jego autentyczny geniusz. Dowodem tego prostszego pisania są takie utwory jak *Francesca*, *In a Station of a Metro*, *Sestina: Altaforte*, czy pierwsze trzy *Pieśni*. Gdy już człowiek wgryzie się w tę bardziej zaawansowaną twórczość Pounda, rzadko kiedy przeżywa rozczarowanie, raczej olśnienie. Mnie samego poezja Pounda naprawdę zafascynowała i zmieniła moje myślenie o poezji, a nawet o ekonomii, czy ciągłości kulturowej i roli artysty w świecie.

Ezra Pound pisał również eseje i jego zbiory takie jak *Guide to Kulchur* czy *ABC of Reading* są niezwykle ciekawym misz-maszem, zbiorem skrajnie hermetycznych teorii alternatywnych właściwie wszystkiego i niezwykle inspirujących konkretnych wskazówek dotyczących chociażby tego, jak pisać i czytać poezję. Dla nacjonalistów niezwykle inspirujące mogą być również jego mowy skierowane do amerykańskich żołnierzy, które zostały nieoficjalnie wydrukowane i w których tłumaczy on chociażby istotę włoskiego faszystów, liberalnego kapitalizmu, ale też cywilizacji europejskiej.

Ezra Pound do dzisiaj jest wymieniany jako jeden z najważniejszych poetów XX wieku, a o jego zaangażowaniu politycznym – pisze się bardzo różne rzeczy... Nie został on nigdy uhonorowany literacką nagrodą Nobla i wielu literaturoznawców przyznaje, że przyczyny tego były wyłącznie polityczne. Jednak sam Ezra Pound był sekretarzem noblisty (i nacjonalisty) Williama Butlera Yeatsa, a także pomógł nobliście T.S. Eliotowi poprawić pierwszą wersję *Ziemi Jałowej* (co w praktyce oznaczało właściwie napisanie jej od nowa) – w dowód wdzięczności i uznania Eliot podzielił się z Poundem nagrodą po połowie.

Po polsku ukazała się antologia utworów Ezry Pounda w przekładzie Jerzego Niemojewskiego, a także antologia *Pieśni* w przekładzie różnych autorów. Dostępna jest także antologia *Wiersze, poematy i Pieśni* w świetnym przekładzie Leszka Engelkinga. Z eseistyki dostępny jest *Duch romański* oraz *Sztuka maszyny i inne pisma*.

Gottfried Benn (1886-1956)

Gottfried Benn był niemieckim poetą – do dzisiaj uznawanym za jednego z najważniejszych niemieckich poetów XX wieku i dość powszechnie czytany i podziwiany zarówno przez czytelników jak i krytyków. Benn jest również solą w oku niemieckiego świata intelektualnego ze względu na swoje zaangażowanie w narodowy socjalizm, a także to, że w sumie nigdy się swoich idei nie wyparł, a samych narodowych socjalistów krytkował raczej za niezrealizowanie wzniosłych idei niż są same idee.

Co ciekawe, mimo że Gottfried Benn był już za życia uznanym poetą, z zawodu był lekarzem i przez większość życia praktykował, co wiele razy ratowało mu skórę. Gottfried Benn zaczął tworzyć jako ekspresjonista – jego pierwsze wiersze są bezpośrednio związane z jego doświadczeniem zawodowym: ich głównym tematem jest śmierć i rozkład. I właśnie choroba i rozkład ciała są z w nich blisko związane z grozą pierwszej

wojny światowej, a następnie z rozpadem niemieckiego społeczeństwa i degeneracją Republiki Weimarskiej. Co ciekawe, Benn nie jest w tych wierszach nihilistą, nie szydzi z pustki, która nie szydzi z niego – ukazuje tryumf śmierci, ale próbuje też szukać w tym wszystkim sensu, a jeśli go nie znajduje, przyjmuje tragizm ludzkiego losu ze zrozumieniem. Wynika to prawdopodobnie z faktu, że Benn znał śmierć i rozkład z pierwszej ręki – doświadczał jej w szpitalach, w kostnicach, czy w swoim gabinecie, w odróżnieniu od różnych nihilistów-szyderców, którzy leżą w pokoju i życie i śmierć znają jedynie z fantazji czy książek. Takie wiersze Benna jak *Mały aster* czy *Mężczyzna i kobieta przechodzą przez barak chorych na raka* są jednymi z kluczowych osiągnięć niemieckiego ekspresjonizmu.

Gottfried Benn w swojej późniejszej twórczości poruszał zarówno temat społecznego rozkładu jak i poszukiwania ładu, zarówno śmierci jak i życia, zarówno przemijania jak i wieczności. Jest on o tyle ciekawym poetą, że kolejne etapy jego twórczości nie przeczą wcześniejszym, ale je uzupełniają, stanowią rozwinięcie kolejnych wątków. Benn poparł niemiecki ruch narodowosocjalistyczny, ponieważ uważał, że odwołuje się on do klasycznego ideału – uważał go za powrót do tragicznej koncepcji życia. Co więcej, doskonale znał biedę i nędzę narodu w czasach kryzysu i uważał, że tylko prawdziwie rewolucyjny ruch, który jednocześnie nie dąży do zniszczenia narodu (jak komunizm) stanowi szansę na poprawę losu zwykłego człowieka.

Gottfried Benn mocno angażuje się w życie kulturalne III Rzeszy, tworzy liczne odczyty i referaty, podejmując polemikę z innymi intelektualistami, zwłaszcza z tymi, którzy emigrują z Niemiec. Ostatecznie popada on w konflikt z narodowymi socjalistami – widzi kontrast między głoszonymi oficjalnie ideami a małością codziennej polityki totalitarnego państwa. I tak jak zawód lekarza dosłownie uratował mu życie najpierw w czasie I wojny światowej, a potem w czasie powojennego kryzysu – tak samo dzieje się w czasie III Rzeszy. Gottfried Benn wstępuje do Wehrmachtu i

pozycja lekarza wojskowego zapewnia mu azyl i emigrację wewnętrzną (podobnie jak bezpieczną przystanią okazał się Wehrmacht dla innego intelektualisty – Ernsta Jüngera). Po wojnie jego prace trafiają na indeks, jednak na kilka lat przed śmiercią zostaje odkryty na nowo i ma możliwość publikowania swoich nowych wierszy. Benn był nominowany pięciokrotnie do literackiej nagrody Nobla, ale ostatecznie nie otrzymał jej z powodów politycznych.

Jego twórczość z czasów ekspresjonizmu jest naprawdę poruszająca, ale nie warto zatrzymywać się na niej. Według mnie dopiero jego późniejsze wiersze takie jak *Dopóki trzymają miecze*, *Spotykałem ludzi*, czy *Tylko dwie rzeczy* stanowią najwyższy punkt jego twórczości i są prawdziwym dowodem wielkości tego poety. Jego twórczość przemawia przede wszystkim do tych, którym nie są obojętne takie tematy jak przemijanie i trwanie, wieczność i teraźniejszość, czy życie i śmierć.

Po polsku ukazało się całkiem sporo przekładów Gottfrieda Benn'a: zbiór *Poezje wybrane* (w przekładzie Krzysztofa Karaska), 111 wierszy i 222 wiersze (w przekładzie Andrzeja Lama) oraz *Nigdy samotniej i inne wiersze*. Ukazał się także zbiór opowiadań: *Mózg i inne nowele*. Dostępne są także dwa zbiory świetnych esejów tego poety: *Po nihilizmie* oraz *Czy poeta zmienia świat*.

Giuseppe Ungaretti (1888-1970)

Giuseppe Ungaretti był włoskim poetą i jednym z twórców nowoczesnej włoskiej poezji, zwłaszcza nurtu nazywanego hermetyzmem. Pochodził z Aleksandrii, a tworzyć zaczął w czasie I wojny światowej – jego pierwszy tomik wydany w 1916 roku pełen jest odniesień do doświadczenia wojny oraz braterstwa żołnierzy, co ciekawe również braterstwa między żołnierzami różnych armii. Po zakończeniu wojny G. Ungaretti zaangażował się w życie kulturalne Włoch i związał się z włoskimi faszystami. Ostatecznie wybrał drogę akademicką i w 1936 został

wykładowcą literatury włoskiej w Sao Paolo w Brazylii. Na emigracji przeżył kryzys twórczy oraz wielką tragedię osobistą – śmierć syna. Do twórczości poetyckiej powrócił dopiero wraz z powrotem do Włoch przed końcem II wojny światowej. Po wojnie próbowano marginalizować go ze względu na jego powiązania z faszystami, jednak był on na tyle ważnym twórcą, że nie można go było usunąć z włoskiego życia kulturalnego.

Poezja G. Ungarettiego jest niezwykle interesująca i angażująca, ponieważ bazuje na ograniczeniu ilości słów do minimum przy zachowaniu maksimum zarówno treści jak i formy. Są to bardzo krótkie wiersze (często składające się z kilku słów), które – niczym maksymy – zostają w pamięci na długo i z czasem ukazują swoje kolejne znaczenia. Sprawia to, że są one trudne do przełożenia (właściwie każdy przekład pokazuje inny aspekt danego wiersza) i z tego powodu najlepiej czytać je w wydaniach dwujęzycznych. Nawet jeśli nie znamy włoskiego, możemy więcej dzięki takiemu porównaniu zrozumieć, czy po prostu usłyszeć oryginalne brzmienie tych wierszy. I tak przykładowo wiersz *Poranek* składa się z dwóch słów, które można przełożyć: „promienieję bezmiarem”. Jak to promienienie bezmiarem rozumieć – pewnie każdy czytelnik zrozumie to trochę inaczej. Inaczej też będziemy sami je rozumieć, gdy popatrzymy przez okno bloku na polskim osiedlu na wschodzące szare grudniowe słońce, a inaczej gdy wyjdziemy na grecką plażę w sierpniu, aby podziwiać wschód Słońca. Z kolei inny wiersz G. Ungarettiego, napisany w okopach i odwołujący się wprost do *Iliady* – *Żołnierze* – można przełożyć tak: „Jesteśmy niczym jesienią na drzewach liście”. Elegancja i precyzja tych wierszy, a także ich zwięzłość, sprawiają, że wwiercają się one nam w głowę i chodzą za nami (a raczej – z nami) przez całe lata.

Nie wszystkie wiersze G. Ungarettiego są aż tak zwięzłe – ale te najkrótsze pokazują, na czym polegają prawdziwe eksperymenty literackie, które są zrozumiałe dla kogoś poza samym twórcą i zawodowym krytykiem i które rzeczywiście odkrywają nowe formy

wyrazu. Takie wiersze są jak slogany, które idą pomiędzy ludzi i pomagają im dostrzec rzeczywistość w całkiem nowym świetle. Jest to też typ poezji, który może silnie przemawiać do współczesnego czytelnika, przyzwyczajonego do szybkiego i zaskakującego przekazu. Wiersze G. Ungarettiego, czy fragmenty z nich mogą i powinny pojawiać się na nacjonalistycznych wlepkach, koszulkach, czy na fashwawowych grafikach krążących po cyberprzestrzeni.

Jako pewne podsumowanie tego, czym jest hegemonia lewicy w świecie kultury, podkreślmy, że G. Ungaretti – twórca hermetyzmu – nie został uhonorowany nagrodą Nobla (ze względu na swoje sympatie i zaangażowanie polityczne), natomiast nagrodę otrzymali dwaj mniejsi hermetyści: Salvatore Quasimodo (komunista) i Eugenio Montale (liberał).

Po polsku dostępny jest wybór poezji G. Ungarettiego wydany w 1975, ale szczególnie polecam dwujęzyczny wybór *Dzień po dniu* (przekład Jarosława Mikołajewskiego). W 2019 roku w setną rocznicę oryginalnego wydania ukazał się polski przekład pierwszego powojennego tomu G. Ungarettiego – *Radość katastrof* (w przekładzie Grzegorza Franczaka).

Tadeusz Gajcy (1922-1944)

O krótkiej biografii Tadeusza Gajcego można napisać wiele – ale o wiele mniej niż o jego twórczości. Gdy przyjrzeć się bliżej jego wierszom, a także jego działalności w życiu literackim – trudno uwierzyć, że żył on jedynie 22 lata, a okres jego „dorosłej” aktywności twórczej trwał jedynie 5 lat. Przez ten czas zdążył on osiągnąć więcej niż niejeden poeta aktywny przez kilka dekad. Jednak – podkreślam, że jest to moja prywatna teoria, niepoparta żadnymi dowodami poza moimi własnymi refleksjami – o ile najbardziej znany poeta pokolenia Kolumbów, Krzysztof Kamil Baczyński, już przed śmiercią doszedł do apogeum swojej twórczości, to Tadeusz Gajcy zginął przed realizacją pełni swojego talentu. Uważam, że

gdyby nie jego tragiczna śmierć, gdyby miał szansę na jeszcze chociaż kolejne 5 lat aktywności twórczej, Tadeusz Gajcy byłby dzisiaj wymieniany w jednym szeregu obok takich polskich poetów jak Słowacki czy Norwid. Jest to kolejny przyczynek do rozmyślań i dyskusji nad sensem i znaczeniem Powstania Warszawskiego – z drugiej strony podejrzewam, że gdyby Kolumbowie przeżyli okupację niemiecką, zostaliby przez Sowietów i ich pachołków zabici albo uciszeni.

Poezja Tadeusza Gajcego (zresztą jak większość polskiej literatury aż do dziś) zanurzona jest w tradycji romantyzmu – to jej wielki atut, zwłaszcza że dla Gajcego romantyzm jest natchnieniem i inspiracją do przemówienia swoim głosem, a nie ograniczeniem i ciężarem zmuszającym do epigoństwa; z drugiej strony jest to jej pewne ograniczenie, ponieważ wiersze napisane w pewien sposób archaicznym, romantycznym i neoromantycznym (młodopolskim) językiem, są dla współczesnego czytelnika z jednej strony atrakcyjne, a z drugiej trudne w odbiorze. Głównym wątkiem poezji Tadeusza Gajcego jest tragizm losów polskiego narodu, który był bezpośrednio związany z tragizmem losów jego pokolenia – jest to kolejny element, który z jednej strony czyni jego twórczość atrakcyjną (wszyscy, którzy coś niecoś wiedzą o polskiej kulturze i historii, od razu zrozumieją to przesłanie), a z drugiej jednak sprawia, że jest ona dla współczesnego czytelnika odległa (nasza wielka wojna to wojna duchowa – przeciw nihilizmowi i beznadziei konsumpcjonizmu). Kolejnym interesującym wątkiem poezji T. Gajcego jest miłość – pełna uniesień duchowych, ale jednak przytłoczona przez tragedię wojny i okupacji.

Tadeusz Gajcy był najpierw jednym z autorów, a następnie ostatnim redaktorem „Sztuki i Narodu” – środowisko tworzące to czasopismo, a także ich twórczość, powinny stanowić inspirację dla współczesnych polskich nacjonalistów, ponieważ była to ostatnia jawnie nacjonalistyczna polska grupa artystyczna, która miała rzeczywisty wpływ na polskie życie kulturalne. Do dzisiaj stanowi ona zadrę wśród polskiego

środowiska literackiego i literaturoznawczego, ponieważ ich twórczość rzeczywiście jest inspirująca i poruszająca, a z drugiej – no jak to tak, nacjonałiści...

Poezja T. Gajcego jest obecnie dostępna w różnych wyborach i zbiorach, polecam sięgnąć po dowolny z nich. W 2016 roku ukazała się monografia *Gajcy. W pierścieniu śmierci* autorstwa polonisty Stanisława Beresia. Jest to bardzo wnikliwa i interesująca pozycja (podzielona na dwie części: biografię poety i analizę jego twórczości), która jest jednak świadectwem ambiwalentnego stosunku polskiego środowiska literaturoznawczego do Tadeusza Gajcego. Stanisław Bereś stara się oddzielić twórczość T. Gajcego od jego poglądów politycznych, a także pokazać, że tak właściwie to nacjonalistą nie był, bo na przykład wcale nie był szowinistą, albo nie miał problemu z nawiązywaniem dyskusji z twórcami o innych poglądach – dając tym samym dowód, że ma nikłe pojęcie o tym, czym tak naprawdę był i jest nacjonalizm.

Podsumowanie

Na zakończenie podkreślę jeszcze raz – wbrew temu, co twierdzą krytycy literaccy i co myśli wielu nacjonalistów, wśród najważniejszych poetów znaleźć możemy wielu nacjonalistów, których twórczość lewicowcy i liberałowie próbują zamilczeć lub przeinaczyć. Poezja takich autorów jak Yeats, Pound, Benn, Ungaretti, czy Gajcy może stanowić dla nas wielką inspirację.

Zachęcam wszystkich czytelników „Szturmu” do tego, aby sięgnąć po wiersze wspomnianych tutaj pięciu poetów – zwłaszcza tych czytelników, którzy ostatni kontakt z poezją mieli jeszcze w szkole. Z poezją jest jak z muzyką – trzeba rzeczywiście jej słuchać regularnie, żeby ją polubić. Trzeba też pamiętać o tym, że jeśli nie lubimy twórczości jakiegoś poety, to jeszcze nie znaczy, że nie lubimy poezji w ogóle. Jest to właśnie jak z muzyką – to że nie lubimy jazzu, nie znaczy jeszcze, że nie spodoba nam

się black metal.

Czytanie poezji może nam dać taką samą estetyczną przyjemność jak wspomniane słuchanie muzyki, oglądanie filmów, czy czytanie powieści. W.B. Yeats jest dobrym przykładem twórcy, który starał się tworzyć również dla tak zwanego „zwykłego człowieka” i którego poezja (w większości przypadków) jest na tyle przystępna, że nie trzeba być literaturoznawcą, żeby ją czytać, a jednocześnie na tyle dobra, że może nas zainspirować. Oczywiście, poezję warto czytać i warto interesować się biografiami poetów związanych z nacjonalizmem, czy całych grup jak środowisko „Sztuki i Narodu”. Jednak naszym ostatecznym celem nie jest literaturoznawstwo i tworzenie kolejnych artykułów o tym, co poeci robili kiedyś, czy kolejnych analiz starych wierszy. Naszym ostatecznym celem jest stworzenie nowej nacjonalistycznej poezji, która będzie dorównywać wielkości dawnych twórców i ostatecznie stanie się stałym elementem naszej kultury narodowej.

Jarosław Ostrognew

Michał Ostrzycki - Duchowość nacjonalistyczna

Artykuł ten pisany jest przeze mnie w grudniowym okresie świątecznym. Jest to czas, kiedy to wiele mówi się o takich wartościach jak duchowość (choć o niej akurat niestety coraz mniej), tradycja czy rodzina. Ludzie zdają się w tym okresie częściej cieszyć z małych rzeczy, być bezinteresownymi, doceniać i rozbudowywać więzi rodzinne. Jest to jednak także czas, w którym apogeum osiąga ofensywa kapitalistycznego reżimu. Bombarduje się nas tysiącami nachalnych reklam rzeczy, których nie potrzebujemy, zasypuje się tonami tandetnych, nic nieznaczących ozdób, rzesze pracowników na śmieciowych umowach są przez swoich pracodawców wyzyskiwanych jeszcze bardziej niż w ciągu reszty roku, przez ogromną skalę konsumpcjonizmu, który tylko zwiększa swe natężenie, kapitalizm coraz silniej i w coraz to większym stopniu stara się uprzedmiotowić naszą kulturę i tradycję. Święta zamiast kojarzyć się ludziom z duchowymi rozważaniami i azylem, pielęgnacją własnej kultury i tradycji, zacieśnianiem więzi rodzinnych, wypoczynkiem w towarzystwie bliskich osób, wielu już osobom kojarzą się z zakupowym szaleństwem, czy raczej histerią, kilometrowymi kolejkami, pieniędzmi, tandetną, hałasem, pośpiechem, fałszywymi interakcjami międzyludzkimi, bezmyślnie naśladowanymi zwyczajami oraz szeroko pojmowanym chaosem.

Być nacjonalistą oznacza jednak rozwijać się duchowo przez cały rok. Bez względu na swoje prywatne przekonania religijne. Wynika to z prostego faktu, że nacjonalizm zakłada duchowe postrzeganie narodu czy kultury. Uznanie przez nas tych wartości za najważniejsze nieodłącznie wiąże się bowiem z postrzeganiem ich nie tylko w wymiarze fizycznym. Dzisiejszy świat jest natomiast przeżarty demoralizacją i degeneracją do tego stopnia, że codzienny rozwój duchowy jest nie lada wyczynem, który nam się jednak udaje skoro wciąż trwamy przy swojej idei. Takie zahartowanie

naszych dusz i umysłów w walce z codziennością sprawia, że okres świąteczny postrzegamy w sposób właściwy i zdrowy oraz przeżywamy go tak jak należy. Ogromny problem miewają z tym natomiast osoby, które na co dzień żyją w sposób bezideowy i niereligijny, które oderwane są od wszelkiej duchowości i toną w doczesności i materializmie. Czyli tak naprawdę... większość społeczeństwa. Ktoś, kto na co dzień żyje w oderwaniu od tych wartości w środku jest tak właściwie martwy i święta jako okres wzmożonej duchowości niekoniecznie mogą mu ułatwić powrót do żywych. Jeśli ktoś bowiem przez cały rok funkcjonuje, tylko i wyłącznie, w wymiarze fizycznym, czy raczej tylko ten wymiar postrzega, nie będzie w stanie prawidłowo przeżyć okresu, który wymaga od niego nie tylko sporego zaangażowania ze strony spirytualnej, ale także i niemałego zahartowania, które pozwoli obronić się przed jakże wzmożoną kapitalistyczną ofensywą pochłaniającą tyle istnień w bezsens, pustkę, nicość, tandetę i fałsz.

Zdawać by się jednak mogło, że pomimo tego wszystkiego, wzrost pozytywnych zachowań, które można zaobserwować u ludzi w okresie świątecznym, świadczy o tym, iż jakiegokolwiek, chociażby minimalne załączki duchowości są u nich wciąż żywe i okazjnie się to objawia swoistym ich przebudzeniem. Bardzo możliwe, że tak właśnie jest. Aczkolwiek w bardzo sporej mierze nie są oni ich nawet świadomi a fakt, że ich obecność objawia się u nich w sposób okazjny i niekontrolowany, świadczy prędeż o tym, że jest to swoiste wołanie tych dusz o pomoc, czy może nawet bardziej, jest to ich naturalna i odruchowa (wręcz wymiotna) reakcja na atakujące je zatrucie w postaci wprost wrogich ludzkiej naturze elementów tego świata, które nieustannie nas otaczają a ich aktywność cały czas ulega wzmaganii się.

Cóż to takiego dla nas, jako nacjonalistów, oznacza? Otóż to, że być może, nie powinniśmy tak często nauczać ludzi i przekonywać ich do naszych poglądów, wykorzystując jako kluczowy argument czy też atrybut jakkolwiek rozumianą „magię świąt”. Oczywiście, próbować można, jest

to nawet wskazane. Ale zanim ochoczo do takowych prób przystąpimy zastanówmy się lepiej co robimy przez cały rok na co dzień, aby poprzez uświadomienie uratować dusze naszych Rodaków. To właśnie wtedy, przez większość roku, w niemalże każdy szary dzień, mamy większe szanse na powodzenie takowych działań. A jeśli już ktokolwiek dostrzeże, że to duchowość jest życiem i ratunkiem oraz alternatywą dla pustki i nijakości, to poradzi sobie z jej rozwojem i w okresie świątecznym. Natomiast samo dostrzeżenie tego, w tym czasie dla większości ludzi, jest utrudnione przez całkowite niezrozumienie celu, fałszywe wskazówki, czynniki rozprasające i zwyczajną nachalność antywartości charakterystyczną właśnie dla tego okresu.

Chcąc pokazać ludziom, że duchowość istnieje nie tylko „od święta”, powinniśmy starać się to robić także nie tylko „od święta”, a codziennie. Bowiem życie duchowe to alternatywa totalna, pochłaniająca całych nas, i ogarniająca każdy aspekt naszego życia. W poszczególne dni jest to dla pobocznych obserwatorów bardziej widoczne, a w inne wręcz niezauważalne. I właśnie to jest kluczem, którego używać powinniśmy do napełniania ludzi ideą – fakt, że uczucia kojarzące się im ze świętami, takie jak chociażby (wręcz wyczuwalne w powietrzu chciałoby się rzec) radość, czułość i spokój są dla każdego dostępne w nieograniczonych pokładach i bez jakichkolwiek limitów, bez względu na datę czy posiadane przedmioty. Wystarczy zaspokoić swoją duszę ideą, dla której będzie się żyć. To stąd przecież biorą się te nasze wszystkie poświęcenia, wartości, przekonania zapał i przede wszystkim sens życia, który na każdym kroku i przy każdej napotkanej przez nas trudności, wskazuje nam drogę.

Wytłumaczenie tego innym osobom, mimo iż dosyć trudne i bardzo często bezowocne, jest jednak nieraz o wiele lepsze niż zasypanie ich kolejną dawką propagandy, której przecież najprawdopodobniej nie przyswoją. Bo co z tego, że informacje w niej zawarte będą przez nich odczytane jako logiczne, albo nawet i słuszne, skoro ich odbiorca, nie będzie odczuwać potrzeby podążania za ideą, która wiąże się z wieloma

wyrzeczeniami i trudami, która w życiu doczesnym nie ma mu zbyt wiele atrakcyjnych rzeczy do zaoferowania a jej sensu ponadmaterialnego zwyczajnie nie jest w stanie dostrzec.

Kapitalizm jest źródłem wielu naszych problemów. Nie tylko tych materialnych ale i duchowych, bo to on od tej duchowości nas odciąga. Nacjonalizm natomiast jest drogą budowania wspólnoty, opartej o wartości rodzinne i socjalne. Jest on nierozłączny ze spirytualizmem, który chroni nas od popadania w przewartościowywanie doczesnych i materialnych śmieci, konsumpcjonizm czy zwyczajną bezideowość. Dlatego też poza promowaniem samych wartości religijnych, które wyznajemy, powinniśmy zająć się także szerzeniem przekazu wprost określającego nacjonalizm jako drogę duchowości, bo tego właśnie zdaje się naszej skromnej propagandzie zdecydowanie brakować.

Ten krótki tekst, będący moimi przemyśleniami dotyczącymi okresu świątecznego z pozycji nacjonalisty, pragnę zakończyć nie tylko wezwaniem do działania czy własnych rozmyślań o tej tematyce. Sympatykom Szturmu, nacjonalistycznym aktywistom i przyjaciołom chciałbym w imieniu swoim oraz Socjalnej Alternatywy, życzyć spokojnych, radosnych, zdrowych, rodzinnych, tradycyjnych i uduchowionych wszystkich dni w roku, w tym również wszelkiej maści świąt, które będą obchodzić.

Michał Ostrzycki

Jan Piasecki - Fundament

W środowisku często panuje mylny pogląd iż trzeba odciąć się od spuścizny przeszłości, a patrzeć tylko w przyszłość. Odrzuca się dzieła Dmowskiego, Mosdorfa, Kwasieberskiego czy Korolca jako nieaktualne i archaiczne. Oczywiście twórczości działaczy narodowych tamtych czasów nie można brać dosłownie, konieczne jest jej postrzeganie przez pryzmat ówczesnych czasów, które jednak nie powrócą, stąd irracjonalne byłoby ich bezkrytyczne i lustrzane przeszczepienie w realia XXI wieku. Jednak najbardziej istotne w tym wszystkim jest pytanie- co my, ludzie żyjący w czasach rozkładu podstawowych wartości, możemy wynieść z schedy pozostawionej nam przez tych którzy przecierali nam szlaki naszej działalności?

W poniższej krótkiej analizie skupię się na artykule pióra Romana Dmowskiego, który ukazał się w numerze 4 „Przeglądu Wszechpolskiego”. Materiał ten nosi tytuł „Nam się nie śpieszy...”, jak wynika z jego lektury, jest on nad wyraz wymowny, stanowiąc nie tylko podsumowanie tego trzystronicowego artykułu ale i swoiste *credo* kierowane do czytelnika.

Na pierwszej stronie Dmowski napisał: *Z drugiej strony, to pewne powodzenie, z jakim idziemy naprzód, ta szybka ekspansja kierunku zawraca trochę w głowach niektórym naszym ludziom, zwłaszcza młodym i gorętszym, budzi w nich popęd do rwania się naprzód, do robienia polityki praktycznie, nie tylko tam, gdzie na to czas przyszedł ale i tam, gdzie nas czeka dłuższa jeszcze praca przygotowawcza.* Wydawać by się mogło, że Pan Roman studząc głowy niektórych gorejących rządzą czynu działaczy chce ich wepchnąć w tryby polityki kompromisu, lecz nic mylnego, co wyjaśnia dalsza część *nasi politycy praktyczni, którzy zarzucają nam bądź idealizm lub niedojrzałość polityczną, bądź każą się domyślać, że reprezentujemy hazard i pociąg do niebezpiecznych eksperymentów, nie bardzo*

rozumieją, że **można lata całe robić politykę i nie zbierać owoców swej pracy w postaci dotykalnych dla każdego geszefciarza zrozumiałych rezultatów. Zapewniamy ich, że można. My się nazwy idealistów nie boimy. Wiemy, że tylko idealisci robili rzeczy wielkie, szerokiego znaczenia dziejowego.** Dmowski wyklada w tym fragmencie podstawy pracy u podstaw, czyli wytrwałego i ciężkiego działania pracy w środowiskowej i społecznej, bez których żaden twór nie przyniesie należytych i oczekiwanych owoców, chociażby nie wiadomo ile pieniędzy w niego włożono. Autor zauważa także, że praca ta będzie nie rozumiana przez ogół polityków, przywiązanych do swoich skostniałych metod parlamentarnych. Ten trud, który musimy podjąć to fundament wielkiej sprawy, o którą trzeba walczyć i której trzeba się poświęcić. *Nazywają nas ambitnymi; może mają i słusność, bo ambicje nasze o wiele dalej sięgają od tych, którymi się kierują nasi przeciwnicy.* Żmudna praca, to praca konieczna, której nie można pominąć, ani odrzucić. *W polityce obowiązuje ogólne prawo rozwojowe: im większą rzecz się tworzy, tym dłuższego wymaga ona czasu.* Cel, któryśmy sobie postawili- stworzenie polityki narodowej, nie z miana, ale z istoty rzeczy, wypracowanie programu ogólnopolskiego, nie polegającego na frazesach patriotycznych, przyczepianych przez wszystkie stronnictwa do swych programów tylko dla ozdoby, **ale na prowadzeniu realnej akcji politycznej, ożywionej we wszystkich kierunkach jedną myślą o przyszłości narodu.** Idąc dalej Dmowski stwierdza iż *nie byłoby problemem stworzyć na prędcę stronnictwo, łącząc żywioły rozbieżne, między którymi węzeł stanowi wspólność negacji.* Ta ułuda współczesnego parlamentaryzmu opętała współcześnie wiele umysłów, które zachłyśnięte pozorną siłą odzwierciedloną w słupkach sondażowych szumnie odtrąbiły swój sukces, zaniechując dalszej pracy i rozwoju. Fundament jakim jest praca u podstaw została zepchnięta w mroki zapomnienia, a na piedestał wybiła się pokusa łatwej drogi, która od kilku lat skutkuje coraz większą degeneracją i destabilizacją środowiska narodowego w Polsce. Dmowski widząc to zagrożenie przeszło 100 lat

temu, przestrzegał, jak widzimy wyżej, przed taką drogą, ponieważ *ambicje nasze jak powiedzieliśmy sięgają dalej*. Stawia też kończącą artykuł wskazówkę, w której uważa, że *chcąc dokonać głębszej przemiany w życiu politycznym narodu, chcąc zreformować, a właściwie stworzyć myśl polityczną u nas, musimy dalej iść tą drogą, którą szliśmy dotychczas- zamiast działania na skromnym, ograniczonym terenie przygotować w dalszym ciągu grunt szerszy*. Ta wskazówka jest jednocześnie przestroga, abyśmy nie zamykali się tylko we własnym środowisku, lecz otworzyli się na pracę wśród innych, którzy idei narodowej nie znają. Ziarno które leży w worku siewcy nigdy samo z siebie nie wykiełkuje jeśli nie zostanie rzucone w glebę. Kończący rozważania autora akapit daje nam wiele do myślenia, trafnością myśli i zawartym w niej spokojem, przepelnionym pewnością o powodzeniu naszej misji: *Jakkolwiek politycy praktyczni nie rozumieją tego, jakkolwiek wydaje im się to idealizmem, brakiem trzeźwości, my na swej drodze zostaniemy. Ci z naszych przyjaciół, którzy się niecierpliwią, niech głębiej popracują myślą nad naszymi zadaniami, ci zaś przeciwnicy, co się obawiają naszej konkurencji o mandaty i stanowiska, niech się uspokoją. **Nam się nie śpieszy...***

Jan Piasecki

Jan Piasecki - Naprzeciw wzburzonej fali

Kiedy na ulicach manifestują tysięczne tłumy, w rytm furiackiej nienawiści, z ustami pełnymi prymitywnych wulgaryzmów, można sobie zadać pytanie cóż to za parada cudaków wyległa tak tłumnie na ulice polskich miast? W samym korowodzie nie ma jednak nic nowego co by potrafiło zdziwić tych, którzy uważnie śledzą polską scenę polityczną. Mieliśmy w przeszłości do czynienia ze stronnikami Kijowskiego, obrońcami RP, czy KODEm, czyli przybudówkami liberalnej partyjki nazywanej Platformą Obywatelską. Aktualnie obserwujemy nową odsłonę błazeńskiej twarzy tzw. „opozycji”, która przybrała maskę „strajku kobiet”. Jednak operacja zaplanowana przez politykierów, która miała na celu przywrócenie władzy platformersom zaczyna się im samym wymykać z rąk, a na pierwszy plan zaczyna nieśmiało wychodzić rewolta, której skutki możemy odczuwać jeszcze bardzo długo.

Motywnym przewodnim protestów miał być postulat usunięcia od władzy partii aktualnie rządzącej. Wszystko szło bardzo gładko, tym bardziej, że uprzednio pojawił się pretekst, a więc wystarczyło tylko uzbroić tłumy w chwytliwe hasła, odpowiednie transparenty i fundusze na prowadzenie antyrządowej agitacji. I pewnie wszystko skończyłoby się jak zawsze na kilkutygodniowych okrzykach, uległej chwilowej modzie antypisowskiej i uczestnicy rozeszliby się do domów. Ale nie tym razem. Anonimowość tłumy, prymitywna wulgarność oraz możliwość rozdziewiczenia udziałem w rozróżkach ulicznych przyciągnęła całe rzesze młodzieży, która spragniona emocji wyległa na ulice z okrzykiem „wojna! wojna!”, nie zdając sobie sprawy, że czyn który chcą wcielić w życie wiąże się z...konsekwencjami. Jak to się skończyło? Oczywiście jak to bywa w przypadku dzieci iPhona i kanapek ze Starbucksa- „tragicznie”. Wystarczyło kilka razy dostać gazem łzawiącym w twarz, czy pałką policyjną przez głowę aby chwilowo opadły uliczne emocje, które następnie eksplodowały setkami internetowych lamentów pisanych z zacisza ciepłego i wygodnego mieszkania. Ta wzburzona fala

instagramowych wojowników została chwilowo powstrzymana, lecz rozbudzona raz ułuda siły i możliwości wpływu na społeczeństwo pozostała i nadal kielkuje w głowach tych znudzonych oglądaniem tanich filmów klasy B bojówkarzy postępu.

Co to oznacza dla nas w przyszłości? Opozycja straciwszy kontrolę nad tłumem, rozbudziła ducha rewolucji, tej najgorszej, bo w wydaniu marksistowskim. Postulaty tłumy noszą znamiona totalnej anarchii, buntu przeciwko wszystkiemu co znamy. Tu nie chodzi o hasła obrony praw kobiet, lecz...o wszystko. Wszystko czego protestujący nie lubią i nie popierają powinno być zdelegalizowane i zakazane, natomiast wszystko co „ich” powinno stanowić prawa człowieka (tu jako żywo staje nam przed oczami rewolucja francuska, rewolucja bolszewicka, czy też postulaty paryskiego maja 1968). Ten tłum rozbudził w sobie prymitywną wulgarność, która stała się wyrazicielem ich postulatów. Nawet w małych miasteczkach obserwujemy grupki niepełnoletnich dzieci, które chodzą ulicami i wykrzykują kogo to „jeb#\$” lub kto ma „wypier#\$%#@”. Menelizacja społeczeństwa trwa, a w tłumie rozbudzane są najbardziej prymitywne instynkty, które stale się kumulując zaczynają osiągać masę krytyczną, gotową w każdej chwili wybuchnąć. Młodzież uczestnicząca w tych festiwalach obłudy nie zdaje sobie sprawy w czym uczestniczy i czego stała się instrumentem. Degeneracja przyszłych pokoleń trwa w najlepsze. Intelktualny analfabetyzm staje się coraz bardziej powszechny. Stoimy u progu nowej ery, która zwiastuje przyjście na świat nowego typu człowieka- niewolnika haseł. Nauczony od dziecka prymitywnego zachowania i łatwego poddawania się emocjom staje się on współczesnym barbarzyńcom, który na celownik bierze naszą cywilizację i kulturę.

Człowiek ograniczony oczywiście cały ten spór sprowadzi do płaszczyzny starcia opozycja vs. PiS, nie widząc iż gra toczy się o cele wyższe. Zapewne w tej walce nie raz będziemy poniżani, nie raz będziemy oczerniani, ścigani i tępieni. Czeka nas walka na gruzach cywilizacji. Europa płonie, błagając o tego, który poprowadzi jej dzieci z powrotem do domu, którym jest nasza cywilizacja. Ruiny wielkich czasów pozostawione przez naszych

przodków i stopnie świątyń staną się naszymi bastionami, a kiedy nadejdzie czas pokoju z twierdz znów wyrosną świątynie i radośnie zabiją dzwony na znak naszego zwycięstwa.

Wzbiera potężna fala budzącej się Polski, niby górski potok, przeradzający się w rzekę. Spróbujcie postawić tamę w poprzek wody, spróbujcie bieg jej odwrócić. Zmiecie was z tym większą mocą, im większa miała być zaporą. biada tym, którzy by chcieli zagrozić nam drogę, lub skierować nas na manowce. [...] Oto odpowiedź tym, co nas chcą zniszczyć, oto odpowiedź tym, co nas chcą kupić! (Jan Mosdorf).

Jan Piasecki

Patryk Płokita - Erotica 2022 i ideologia nowej lewicy w treści. Recenzja filmu

Gdy dowiedziałem się, że polskie feministki związane z branżą filmową stworzą coś dystopijnego, to trzeba rozpocząć seans. Miałem obawy... Jakie? Za dużo ideologii? Za dużo nowomowy? Nie. Wręcz przeciwnie. Ideologia, której się bałem, to "wisienka na torcie", w porównaniu z całością filmu.

To nie jest tak, że ten film neguję w całości, bo w ramach wstępu napiszę, co było w nim dobre. Chodzi dokładnie o ścieżkę dźwiękową. Nostalgiczny synth był przyjemny dla ucha. Przypominał muzykę lat 80tych poprzedniego wieku ... i na tym "dobre" się kończy. Dalej będzie "źle", "gorzej" i "beznadziejnie".

Zapraszam do recenzji najgorszego filmu, jaki oglądałem w życiu. W końcu "Erotica 2022" przebija nawet filmy klasy Z, jak "Mordercze Klowny z Kosmosu". Przynajmniej z tego ostatniego można było się pośmiać. Przy tym "feministycznym dziele" bolały oczy, przeżywałem traumę, a ból głowy był co kwadrans. Zapomniałem wspomnieć o refluksach i odruchu wymiotnym. Przeżyłem podczas seansu tego postmodernistycznego filmu "coś", co można przyrównać do "psychicznego sadomasochizmu". Tylko i wyłącznie po to, aby napisać recenzję dla "Szturmu". To dopiero "cena idei" dla ukazania, czym będzie obecny system karmił nas na najbliższe lata.

Na czym "Erotica 2022" traci?

Po pierwsze na chaotycznej fabule. Scenariusz tworzone na kolanie. W omawianym filmie przedstawiono kilka porzucanych historii kobiet z futurystycznej przyszłości. Nie mają one żadnych konotacji. Dopiero pod koniec filmu połączone są puentą "uprzedmiotowienia kobiet". Iskrzy płytkość w osiągnięciu tego celu.

Po drugie, film ten traci w tworzonych scenach. Chodzi dokładnie w tym przypadku o pracę kamerą. Przedłużone kadry do maksimum możliwości, zanudzają widza na śmierć, zamiast... zaciekawić? Nie wiem jak to można inaczej ująć. Oprócz tego nagminnie stosuje się tego typu zabawy kamerą w "Erotica 2022". Odnieść można wrażenie, że jest to typowa "zapchaj dziura", aby zwiększyć minuty filmu.

Ponadto, zamiast budzić emocje, bo takie zapewne było założenie, tak przypuszczam, tworzy się ślamazarną pustkę. Buduje to w widzu "frustrację", "złość" i "gniew". Dawno nie odczuwałem takich emocji podczas seansu filmowego. (A może po prostu tak wygląda współczesne postmodernistyczne kino, a ja się nie znam? Szkoda tylko, że internautom film się nie podoba i w sieci jest od groma negatywnych komentarzy. Przynajmniej nie jestem sam w ocenie tego "dziełka").

Po trzecie duża strata w stworzeniu tzw. "burzy mózgow", "co autor miał na myśli"... Niestety nie dowiedziałem się, co autor chciał przekazać widzowi, nawet wtedy, kiedy dotarłem do napisów końcowych. Podczas seansu "Erotica 2022" nie wiadomo, o co reżyserowi chodzi w danej scenie. Buduje to chaos znaczeniowy, zwłaszcza w sytuacji, kiedy stosuje się "ultra-poetyckość" na siłę, do granic możliwości. (Ten zabieg można przyrównać do ostatnich płyt zespołu "Coma"). Film nasiąknięty jest zbitkami myślowymi i znaczeniami, których nie rozumiesz, nawet gdy za wszelką cenę próbujesz, na siłę, jako widz, znaleźć sens. Przeciąża to szare komórki, buduje traumę i odruch wymiotny. Widać też, że autorzy tej "sztuki dla sztuki" chcieli wykreować jakiś sens, ale niestety to zadanie ich przerosło, i nie wyszło. (Tak dalej będą spoilery, bo się nie da inaczej).

Dla przykładu, do dzisiaj nie rozumiem historii, w której pani poznała pana w przedziale pociągu. A romans zaczął się od podania kanapki, bo dziewczyna była głodna...

Dochodzi do wypadku. Pociąg się wykoleił. Konduktorzy karzą wyjść na zewnątrz. Kobiety i dzieci ustawiane są na jedną stronę, a mężczyźni na drugą. Zakochana para, pomimo obostrzeń, idzie do pobliskiego lasu. Wiadomo już w jakim celu. Uprawiają seks w strumyku, gdzie leżą nieopodal... zmrożone kamienie. Dookoła pada śnieg. Zima. Postromantyzm przyszłości...

Następnie dochodzi do chaotycznej zmiany w prowadzonej narracji w filmie. Do owej pary podchodzą inni ludzie z pociągu. Zaczyna się orgia. Bez względu na płeć i na wiek. Gdy "sodoma i gomora" się kończy, to pośród już ubranego tłumu uczestników wcześniej wspomnianego wydarzenia pojawia się niedźwiedź!

Tak wiem, to ma symbolizować „zwierzęca naturę i siłę kobiet”. Takiej postmodernistycznej symboliki jest multum w "Erotica 2022". Współczesna nowomowa i ideologia nowej lewicy, jednak realizacja tego pomysłu stoi na poziomie totalnej porażki. I tak jest z każdym zamysłem w recenzowanym filmie. Jako widz patrzysz na to. Chcesz dać szansę. Kolejne sekundy, minuty i zaczynasz "wątpić w ludzkość".

Warto przejść do czwartej kwestii, na czym traci "Erotica 2022". Chodzi dokładnie o sceny erotyczne. Praktycznie co piętnaście minut, ma się wrażenie, że ogląda się niskobudżetowy film dla dorosłych. Obsceniczne sceny, co kwadrans, to taka norma podczas seansu. Przecież gdyby tego nie było, to tytuł by się nie zgadzał z treścią? Nawet jest motyw dmuchanych lalek, którym wkłada się stopy w odbyt...

Po piąte i ostatnie, film traci przez wprowadzaną ideologię nowej lewicy w treści. Neo-feministyczna nowomowa i futurystyczny świat przedstawiony? Brzmi nieźle. Patriarchat gnębiący kobiety i podział społeczeństwa w postaci "płciowego apartheidu"? Fantastyczne. Brakuje jeszcze ataku "kosmitów obojnaków" na Ziemię i byłoby chyba dopiero

wtedy w jakikolwiek sposób "śmieszniej". Tak wiem, to już w obecnych czasach "homofobia"... Ludzie stracili już do reszty humor?

Zrobię w tym miejscu jakieś podsumowanie, jeśli w ogóle się da... W "Erotica 2022" widz może zrozumieć oddzielne przedziały dla kobiet i mężczyzn w pociągach, oraz zakaz zbliżania się w miejscach publicznych, ale już na przykład obawa o futurystyczną prokreację, gdzie kobieta nadal będzie "inkubatorem", wydaje się być pomysłem naciąganym. Widać tutaj podprogowy przekaz ideologiczny. W "Erotica 2022", żeby zająć w ciążę... kobieta musi biegać i osiągnąć konkretny dystans, aby pobudzić hormony... Zapewne ma to coś symbolizować, aczkolwiek widz nie wie, co autor miał na myśli. I tak jest przez cały film...

Słowo końcowe i ocena. W skali do dziesięciu mocne naciągane dwa. Na uwagę zasługuje jedynie tylko muzyka i dlatego taka ocena. Nostalgiczny synthwave dla ucha, umiła w jakikolwiek sposób seans, tego "postmodernistycznego dziełka", naszych rodowitych artystek i reżyserek. Nie wiem czemu Netflix to wypuścił... A już wiem... Ideologia nowej lewicy, nowa fala feminizmu i futurystyczna dystopia. To się sprzeda!

Film nie jest przyjemny. Trzeba się zmuszać, aby go dokończyć i dotrzeć do napisów końcowych. Wydłużone pracy kamery nie ułatwiają tego. "Erotica 2022" to przerost formy nad treścią. Założenie może i było genialne. Mam na myśli futurystyczny świat, gdzie oprócz "płciowego apartheidu" istnieje np. zjawisko kwaśnego deszczu, który zabija wszystko dookoła. Wyobrażenie przyszłości, nie zdało rezultatu, podczas jego realizacji na planie filmowym. Powtórzę jeszcze raz, "Erotica 2022" nie da się oglądać bez wewnętrznego przymusu. Nie poznałem jeszcze człowieka, aby oglądał ten film z przyjemności.

PS.

Drodzy czytelnicy. Nie przejmujcie się tym, że po tej recenzji nie będziecie chcieli sięgnąć po "Erotica 2022". Jeśli szukacie dobrej polskiej wizji dystopii końca świata, to polecam "Obi Oba. Koniec cywilizacji". Przynajmniej tam cebula jest nadal cebulą. (Zrozumiecie jak obejrzycie).

Patryk Płokita

Maksymilian Ratajski - Ocalić Kresy

Bezpośrednią inspiracją do napisania tego artykułu był (bardzo dobry zresztą) tekst Jarosława Ostrogniewa „*Po naszej własnej stronie. Nacjoniści wobec konfliktów politycznych*” z 72-ego numeru „Szturmu”. Autor zawarł z nim wiele bardzo słusznych przemyśleń, jednak czegoś bardzo istotnego zabrakło. Pisząc o tym co powinno być dla nas ważne przy popieraniu lub nie protestów społecznych poza granicami naszego kraju, nie wspomniał o sprawie kluczowej, zwłaszcza w kontekście Białorusi, Ukrainy czy potencjalnie Litwy, a mianowicie podejściu obu stron konfliktu do polskiej mniejszości. Jesteśmy nacjonalistami i przede wszystkim powinniśmy kierować się dobrem własnego Narodu, którego Kresowiaci są integralną częścią. Nie zamierzam tutaj zarzucać redakcyjnemu koledze złej woli, ale ten tekst pokazuje pewien problem od dawna dotyczący środowiska radykalne czyli zapominanie o Kresach.

Bardzo często do Kresów podchodzimy jak do noclegowni dla bezdomnych, uznając, że wystarczy wysłać na Święta trochę makaronu i kilka książek. To prawda, że Polacy mieszkający za naszą wschodnią granicą w większości żyją nieco biedniej od nas, i pomoc materialna jest potrzebna, nie może jednak ona stanowić głównej (bardzo często jedynie) działalności Kresowej.

Polska obecność na Wschodzie trwa od setek lat, przez ten czas wielokrotnie zmieniały się granice państw, niezmiennie jednak żyją tam Polacy. Lwów czy Wilno odegrały olbrzymią rolę w polskiej historii, za dzisiejszą wschodnią granicą RP urodzili się Adam Mickiewicz czy Józef Piłsudski, na Kresach dzieje się akcja Pana Tadeusza, czy prawie całej Trylogii. Po wojnie utraciliśmy olbrzymi obszar terytorium, wielu Polaków zostało zmuszonych do opuszczenia swoich domów, wcześniej wielu zostało zamordowanych lub wywiezionych. Zostali stosunkowo

nieliczni. Dzisiaj zagrożeniem dla Kresowiaków nie są „banderowcy”, a zanikanie poczucia tożsamości narodowej, zwłaszcza wśród młodego pokolenia. Jesteśmy na najlepszej drodze do tego, żeby średnia wieku Polaków na Ukrainie wynosiła 80 lat. Jak walczyć z tym zjawiskiem? Przede wszystkim wspierać polskie organizacje społeczne, kulturalne czy kluby sportowe. Naciskać na władze państwowe, żeby REALNIE wspierały polskie szkolnictwo i organizacje.

Polskość musi stać się atrakcyjna dla młodego pokolenia, które najłatwiej ulega asymilacji, szczególnie w rodzinach mieszanych. Atrakcyjna jest Karta Polaka, ale wszyscy wiemy, że bardzo często dostają ją Ukraińcy czy Białorusini nie mający z polskością nic wspólnego, słuszna inicjatywa funkcjonuje bardzo kiepsko.

Wiele można zarzucić Węgrom, których szowinizm stał się wręcz przysłowiowy, jednak trzeba przyznać, że naprawdę o swoich Kresach pamiętają, co widać szczególnie po sukcesach węgierskich klubów piłkarskich w ligach słowackiej czy rumuńskiej. Tymczasem Polonia Wilno już nie ma, a Pogoń Lwów utknęła w niższych ligach. Madziarzy doskonale rozumieją że kluby sportowe odgrywają ogromną rolę w kształtowaniu tożsamości. Przede wszystkim mówię tu o kibicach, ale także istnieniu szkółek, tworzeniu się wokół klubu społeczności i poczuciu więzi.

Kolejnym aspektem jest kultura – chcąc uniknąć rozpląnięcia się Polaków wśród Litwinów, Ukraińców czy Białorusinów musi nam zależeć na popularności za wschodnią granicą polskiego kina, muzyki, tak, żeby polskość kojarzyła się młodym z czymś fajnym, a nie wspomnieniami babci, jak to było przed wojną. Pisząc o promocji polskiej kultury, należy zaznaczyć, że powinna być ona atrakcyjna dla młodego odbiorcy. Znacznie większą rolę odegrać mogą piosenki Zenka Martyniuka niż wiersze Adama Mickiewicza.

Obecność polskich księży na Kresach i odróżnianie się od sąsiadów religią jest jednym z największych atutów, którymi dysponujemy, parafie pozwalają zachować tożsamość, prowadzić życie narodowe. Jednak i tutaj mamy bardzo istotne problemy – po pierwsze poziom laicyzacji społeczeństwa w krajach byłego ZSRR jest jeszcze wyższy niż w Polsce, a działalność księży dociera jedynie do osób praktykujących. Osobiście poznałem także potomków Polaków z Ukrainy, których dziadkowie po wojnie przyjęli obrządek grekokatolicki. Dzisiaj te osoby mimo świadomości swojego pochodzenia uważają się za Ukraińców. Jednak to właśnie Kościół stanowi najlepszy punkt zaczepienia.

Oczywiście my niczego za Kresowian nie zrobimy. Możemy pomagać w pozyskiwaniu funduszy, dzielić się doświadczeniami z działalności społecznej, nagłaśniać w Kraju ich problemy. Możemy także w miarę możliwości wyjechać na jakiś czas na wolontariat. Ale przede wszystkim wzbudzić u nich chęć działania, poczucie że ma to sens. To Kresowiaczy muszą chcieć działać u siebie, tak jak czyni to choćby Wileńska Młodzież Patriotyczna. I najważniejsze – my możemy tylko wspierać polskie organizacje na Kresach, nawet musimy to robić, ale nie zapominajmy, że to tacy sami Polacy jak my, a nie ciemny lud, któremu trzeba wszystko pokazać, narzucić własny punkt widzenia i czuć się lepszym. O wiele ważniejsze powinno być dla nas powstawanie i działanie organizacji Polaków na Kresach, niż to czy będą one narodowo-radykalne.

Jedyną dziedziną w której Konfederacja, a raczej będący w niej RN-owcy, się nie kompromituje, jest przypominanie o Polakach na Wschodzie, duży wpływ na to ma Kresowe pochodzenie Roberta Winnickiego czy Krzysztofa Bosaka. Jeżeli obecność tego tworu na Wiejskiej ma jakiś sens, to jest nim wywieranie presji na rząd PiS, żeby upominał się o prawa Polaków na Wschodzie.

Osobne słówko należy się szowinistycznemu podejściu reprezentowanemu przez dużą część tak zwanych „neoendeków”. Pisanie

o „UPAdlinie” i nazywanie każdego Ukraińca banderowcem, jest nie tylko skrajnie niedojrzałe i niepoważne, ale przede wszystkim szkodliwe. Szkodliwe także dla Polaków na Kresach, to oni będą ofiarami animozji.

Wielu zarzuca „Szturmowi”, że bardzo rzadko pojawia się u nas tematyka Kresowa. To prawda, jednak nie należy się tutaj dopatrywać złej woli z naszej strony – każdy pisze na tematy, które są mu najbliższe, w których ma najwięcej do powiedzenia. Kresy były, są i będą bardzo ważne, tego nikt normalny nie kwestionuje. To, że nie traktujemy sąsiednich narodów jak wrogów, nie sprawia, że wyrzekliśmy się własnego. Dobre relacje z sąsiadami mogą tylko pomóc Polakom na Kresach, z kolei szowinizm i awanturnictwo jedynie im zaszkodzi. Działajmy mądrze i pamiętajmy kto jest teraz gospodarzem w Wilnie czy Lwowie i ustala tam zasady. Jednocześnie należy odróżnić głupi szowinizm od potrzebnej stanowczości, której mamy prawo wymagać od państwa w kwestii upominania się o prawa Polaków na Litwie.

Zatytułowałem ten tekst „*Ocalić Kresy*”, bo rzeczywiście po kilkudziesięciu latach w Związku Radzieckim i trzydziestu programowego udawania przez III RP, że ich nie ma, tamtejszym Polakom grozi wynarodowienie. Jeżeli na Kresach nie powstaną duże i prężnie działające polskie organizacje społeczne i kluby sportowe, a polska tożsamość i kultura nie staną się modne. Problem w tym, że dla dzisiejszego Polaka zamieszkałego w Kraju, jeżeli nie ma on Kresowych przodków, tereny za Bugiem są czymś bardzo odległym, abstrakcyjnym. Jeżeli rzeczywiście chcemy skutecznie wspierać polskie organizacje w Wilnie, Grodnie, Lwowie czy Żytomierzu, musimy najpierw wzbudzić zainteresowanie problemem wśród Polaków w Polsce (także nacjonalistów), przemodelować współczesny patriotyzm tak, aby obejmował on także ziemie na Wschodzie, kulturę i tradycje Kresów. Tylko wtedy będzie możliwe wywieranie presji politycznej w sprawach polskich szkół na Litwie czy pisowni nazwisk, a także realne wsparcie finansowe z Kraju dla organizacji Polaków na Kresach. Zadanie

arcytrudne, bo musimy przy tym uniknąć tak często pojawiającego się szowinizmu i rewizjonizmu. Jednak konieczne, bo aktualnie przegrywamy Kresy na całej linii frontu i wkrótce będzie za późno.

Celem tego artykułu nie było podawanie gotowych rozwiązań, a skłonienie do refleksji, wywołanie dyskusji na temat skutecznego wsparcia Polaków na Kresach i zapobiegania wynarodowianiu.

Maksymilian Ratajski

Maksymilian Ratajski - Oswoić media

Ostatnio rozmawiałem ze znajomą pracującą w mediach, na temat nieskuteczności naszej narracji, braku umiejętności korzystania z mediów, zwłaszcza tych społecznościowych, których oddziaływanie jest obecnie największe. Rok temu napisałem tekst „*O nacjonalistyczną narrację*”, w którym starałem się nakreślić stojące przed nami wyzwania, szukałem odpowiedzi na pytanie jak tworzyć atrakcyjny i trafiający do ludzi przekaz.

Protesty przeciwko Konstytucji (w których udział brali w dużej mierze jej niedawni obrońcy, ot taki paradoks), kolejny raz pokazały nam potęgę mediów, zarówno tych tradycyjnych, jak i społecznościowych. Kilka lat temu Internet należał do korwinistów, którzy bardzo sprawnie korzystali z Facebooka, a JKM był gwiazdą Youtube. Efektem była wielka popularność jego poglądów wśród młodzieży, co widać było także po osobach trafiających wówczas do organizacji narodowych. Obecnie trend zmienił się w stronę liberalnej lewicy, która doskonale czuje się w mediach społecznościowych, efekty widzieliśmy podczas tak zwanego „strajku kobiet”.

Dlaczego w kilka lat tak bardzo zmienił obraz mediów społecznościowych w naszym kraju? Przecież jeszcze niedawno był to głównie Facebook, a na nim niepodzielnie rządziła prawica, głównie w wydaniu kucowskim. Teraz coraz większą popularność zyskuje Twitter, pojawił się Tiktok, niezmiernie modny jest Instagram... Pojawiły się „julki” i „influencerki”. Facebook w tym czasie wypowiedział nacjonalistom i konserwatystą wojnę poprzez ciągłe banowanie, usuwanie treści czy cięcie zasięgów. Prawa strona sporu politycznego ostatnie lata przespała na każdym froncie, nie inaczej było w dziedzinie social media. Tymczasem liberalna lewica wyciągnęła wnioski i nauczyła się z nich korzystać w sposób mistrzowski, budując narrację o „łamanych prawach kobiet”.

Przyjrzyjmy się czasem popularnym youtuberom, modnym vlogerom, influencerkom na Instagramie, dobrze prowadzonym, mającym duże zasięgi stronom na Facebooku. Zaznaczam – nie tym, poświęconym typowo sprawom społeczno-politycznym, ale lifestylowym, modowym, związanym z różnymi zainteresowaniami. Zobaczmy jak często możemy tam spotkać treści światopoglądowe, niby modna jesienna stylizacja dla dziewczyny, ale – IDEALNA NA PROTEST! Podróż do Barcelony – jakie piękne, otwarte i TOLERANCYJNE miasto, gdzie geje trzymają się za ręce! To właśnie tego typu przekaz trafia do niezainteresowanego na co dzień polityką odbiorcy. Gdyby osoby z naszej strony barykady umiały w ten sposób wykorzystywać media społecznościowe... *„Taka sukienka sprawdzi się nie tylko na spacer, ale i niedzielne wyjście do kościoła”*, czy *„Wiedeń piękne miasto nad Dunajem, kojarzy się w Polsce przede wszystkim z postacią Jana III Sobieskiego i pamiętną odsieczą...”*, w ten sposób w materiałach w ogóle niezwiązanych z polityką pojawia się pozytywny przekaz, który odbiorca zapamięta.

Skoro już jesteśmy przy youtuberach, bardzo lubię oglądać Everyday Hero, robiącego głównie filmy o tematyce ekologicznej, które są naprawdę świetnie zrobione, z pomysłem. Jest on przedstawicielem liberalnej lewicy, co w niektórych materiałach pokazuje. Tworząc świetne filmy dla zainteresowanych ochroną przyrody i prawami zwierząt odbiorców, trafia do nich także z pozostałymi swoimi poglądami. Oglądajmy, wyciągajmy wnioski i UCZMY SIĘ!

Czas w końcu nauczyć się, że nie wszystko co robimy musi być nacjonalistycznie nacjonalistyczne. Wręcz przeciwnie, chcąc docierać z naszymi wartościami do jak najszerszego grona odbiorców trzeba, aby ten przekaz płynął niejako przy okazji. Wiadomym jest, że Szturm, Autonomia, Politykę Narodową czy Kierunki, czytają ludzie zainteresowani tematem, już przekonani. Znacznie większy będzie pożytek, jeżeli nacjonaści złączą kanały na yt związane ze

swoimi pasjami, niż z kolejnego kumatego profilu na fejsie. Kto umie ciekawie opowiadać o podróżach, samochodach, kulinariach, kinie, sporcie czy nawet modzie – niech przemyśli założenie profilu na fejsie/instagramie/youtubie i od czasu do czasu nienachalnie przemyca treści światopoglądowe. Nacjonalista zajmujący się muzyką nie zdradzi idei, jeżeli jego twórczość będzie „normalna”, skierowana do zwykłego odbiorcy, a jedynie czasem przemycająca pewne treści. Co więcej, właśnie wtedy będzie miał większe szanse dotrzeć do szerszego odbiorcy. Nasi wrogowie doskonale to rozumieją i dzięki temu odnoszą sukcesy, kształtując całe, wychowane na social mediach i Netflixie, pokolenie.

Bezpośrednią inspirację do napisania tego tekstu stanowiła wspomniana na początku rozmowa z koleżanką, moja rozmówczyni wspomniała o tworzeniu amatorskich seriali, w których znalazłyby się treści konserwatywne czy patriotyczne. Osobiście nie bardzo umiem to sobie wyobrazić, ale gdyby ktoś umiał stworzyć taki serial, byłoby to na pewno ciekawe.

Nie mamy pieniędzy i wielkich portali internetowych, możemy zapomnieć o wsparciu tak zwanych „celebrytów” (takie to patologiczne czasy, że panna, która zagrała w jednej reklamie, albo dwóch odcinkach telenoweli i ma sporo zdjęć na instagramie robi w mediach za „autorytet”), seriale pokazuje wzorce stanowiące zaprzeczenie naszych wartości. Takie są fakty. Natomiast napotykanne trudności nie zwalniają nas z obowiązku obrony naszych wartości i szukania najlepszego sposobu ich propagowania. Jeżeli chcemy być skuteczni i docierać z przekazem do szerszego grona odbiorców, zwłaszcza młodych, musimy być na bieżąco z trendami panującymi w mediach, zwłaszcza społecznościowych i nauczyć się je wykorzystywać. Dlatego pozytywnie odbieram obecność Młodzieży Wszechpolskiej na tiktoku, który jest niesamowicie popularny wśród licealistów. Odbiorcy naszego przekazu nie przyjdą do nas sami, to my musimy ich szukać i wykorzystywać w tym

celu wszelkie możliwe kanały, szczególnie te potencjalnie najskuteczniejsze.

Maksymilian Ratajski

Michał Walkowski - Rzecz o kolistości życia ludzkiego

Za snami często kryją się podświadome marzenia. Tę prawdę rozpoznajemy na swoich życiowych drogach niejednokrotnie. Nie na uniwersyteckich wydziałach psychologii. Bierzymy ją z doświadczenia każdej niemal nocy. Powtarzające się, dręczące nas motywy senne zawsze kryją za sobą co najmniej jedno głębsze znaczenie. Co jednak jest wymagane, żebyśmy mogli marzyć? Przecież czynność ta nie przychodzi nam do głowy samoistnie, nie zsyła nam ich żadna siła wyższa (a może jednak tak?). Wydaje się, że mamy na nią wpływ, możemy o niej w jakiś sposób decydować. Zauważmy jednak, że nad snami zazwyczaj kontroli nam brak. Zatem znaku równości między snem i marzeniem postawić nie można, choć zachodzi między nimi ścisły związek. Ciekawym zjawiskiem z kanwy kulturowej cywilizacji Europy powiązaniem z powyższym wątkiem jest fakt, że w religii politeistycznej Greków bóg śmierci, Tanatos był bratem bliźniakiem Hypnosa – boga snu. Czyżby jedni z naczelnych twórców podwalin kultury naszego kontynentu odkryli pewną istotną prawdę o pewnej swoistej... kolistości życia? Mieliby rację w kolejnej z wielu ważnych spraw filozoficznych. Spróbuję jednak rozwinąć mój skrót myślowy.

Religia jest emanacją prawdy perenialnej – właściwego dla danej kultury uzewnętrznienia się Tradycji. To jedno z podstawowych założeń potrzebnych do zrozumienia motywu kolistości życia. Inne głosi, że Tradycja może ewoluować – żeby mogła „podsycić płomień”, a nie „czcić popioły”. Jest więc żywa. Implikuje to fakt, że myśl Greków można uznać nie tylko za osiągnięcie, ale i medium prawdy uniwersalnej. Starożytni byli i nie byli zarazem winni tego, co zapisali, wyrazili. Wkładając wysiłek intelektualny i podejmując radykalną decyzję o poświęceniu się zostali mediatorami Tradycji. Może to zostać uznane za interpretację, niemniej

przy przyjęciu powyższych założeń, które zamierzam w przyszłości wyjaśniać w moich tekstach, rzecz pozostaje spójna. Wracając do meritum – zauważyć należy, że to nie koniec rozwinięcia mojego skrótu myślowego, gdyż na bazie samego tylko stwierdzenia o mediatorstwa Greków nie można orzec o zasadności tego, że to oni odkryli motyw kolistości ludzkiego życia. Co zatem może to potwierdzić? Gdy przyjrzymy się bliżej powyższemu wywodowi dostrzec będzie można, że brakuje w nim pogłębienia wątku śmierci. Wypada powiedzieć, że śmierć w mojej propozycji jej rozumienia nie jest końcem ostatecznym. Religia nie dająca odpowiedzi na pytania z nią związane nie może być uznawana za religię. Jednym z częstych, a w mojej ocenie najważniejszym z kryteriów przyjmowanych do uznawania danego systemu, światopoglądu za religijny jest właśnie to, czy rozstrzygają one sprawy ostateczne. Politeizm grecki to niewątpliwie religia – religia, która dała trwale podwaliny na blisko dwa tysiące lat istnienia naszej cywilizacji. Odkrycie w jej ramach tajemniczego związku snu i śmierci, to istny fenomen. Jeśli sny od najmłodszych lat inspirują nas, popychają i lekkim tknięciem przekazują pewne fundamenty marzeń, to czy można jeszcze poważnie mówić o naszej wolnej woli? Wydaje się, że tak. Bowiem na poziomie meta- decyzja należy do nas. Cóż to znaczy? Jeśli nawet jesteśmy zdeterminowani poprzez sny, marzenia, odgórnie narzucane nam cele, to ilekroć zaprzemy się i im przeciwstawimy wewnątrz, tylekroć silniejsi będziemy, co na pewnym etapie może przełamać w naszych życiach szalę. Jaki jednak ma to związek z kolistością ludzkich żywotów? Pierwsza rzecz zazębia drugą, druga trzecią, a trzecia... pierwszą. Życie, sen, śmierć. Świat czynów, świat woli, świat wiary. Cała ta trychotomia jest idealnym obrazem naszej drogi. Rodząc się zaczynamy od snu – nie mamy wpływu na to, co się z nami dzieje, gdzie się urodzimy, czy kim w danej chwili jesteśmy. Na pewnym etapie nabywamy zdolności decyzyjnych, wpływu, kontroli, dzięki którym potrafimy wypracowywać nasze własne ścieżki. Wszystkie jednak prowadzą w to samo miejsce – do śmierci. To trójdzielny krąg.

Istny geniusz Aten sprawia, że w pozornie skomplikowanym,
Straussowskim wyborze pomiędzy nimi i Jerozolimą... wybór jest prosty.

Michał Walkowski

Norbert Wasik - Jan Gwalbert Pawlikowski (1860-1939) – nacjonalista, społecznik, ekolog

Jan Gwalbert Pawlikowski znany jest politykom, taternikom, miłośnikiem przyrody i twórczości Juliusza Słowackiego, a to za sprawą szerokich zainteresowań i wartych odnotowania dokonań na wielu polach. Już w czasach studenckich opowiadał się za solidaryzmem i w niedługim czasie związał się z Obozem Narodowym, propagującym dynamiczny nacjonalizm. Od roku 1902 był członkiem Ligi Narodów, a dwa lata później powołał do życia Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne. Członkiem endecji był do końca życia...

Medyka – rodzinne gniazdo Pawlikowskich

Jan, Tadeusz i Michał dorastali w Medyce, która od roku 1809 była w posiadaniu rodu Pawlikowskich. Dobra medyckie zakupił bowiem pradziad braci – Józef Benedykt Pawlikowski, ostatnim zarządcą posiadłości był natomiast Michał, syn Jana, który utracił majątek wraz z wybuchem II wojny światowej. Do malowniczej wsi, znajdującej się obecnie na terenie województwa podkarpackiego, bracia wracali często. Od roku 1887 Jan zarządzał rodzinnym majątkiem, unowocześniając posiadłość i z należyty szacunkiem traktując tamtejszą przyrodę.

Z powodzeniem wprowadzał najnowsze technologie produkcji rolnej, z którymi zapoznał się w trakcie studiów rolniczych w Halle, Wiedniu i Dublinach. Był wielokrotnie nagradzany za dokonania z dziedziny botaniki i ogrodnictwa. Jan studiował również geografę, historię i historię literatury na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, gdzie

podjął również studia z zakresu prawa, które kontynuował w Wiedniu (doktoryzował się z tej dziedziny w roku 1885 w Krakowie).

Rolnictwo było jego pasją, toteż chętnie nauczał młodzież, choćby w Wyższej Szkole Rolniczej w Dublanach, w której powierzono mu stanowisko kierownika katedry ekonomii społecznej (wykładał ponadto ekonomikę rolnictwa, prawo rolne i politykę agrarną). Był również autorem wielu artykułów z zakresu gospodarowania rolnego publikowanych w czasopiśmie, jak również opracował wszystkie hasła związane z rolnictwem dla „*Encyklopedii Macierzy Polskiej*”.

Z miłości do przyrody i gór

W pamięci mieszkańców Zakopanego Jan Gwalbert Pawlikowski zapisał się jako doskonały taternik. W wysokogórskich wyprawach towarzyszył mu często Adam Asnyk. To właśnie do nich należało drugie w historii wejście na Wysoką od przełęczy Wagi. Pawlikowski dokonał również wiele pionierskich wejść, wystarczy wspomnieć zdobycie Mnicha czy Szatana (oba wejścia z Maciejem Sieczką). Był ponadto prekursorem taternictwa jaskiniowego – zbadał i opisał m.in. jaskinie Mylną, Raptawicką i Obłazkową. Prowadzone przez niego badania speleologiczne są dzisiaj źródłem wiedzy dla naukowców, pozwoliły również na udostępnienie jaskiń tatrzańskich turystom.

Pawlikowski był również autorem programu Towarzystwa Tatrzańskiego i jego wieloletnim działaczem, którego w roku 1913 uznano za członka honorowego. Opowiadał się za zniesieniem w Tatrach nadmiernych ułatwień we wspinaczce, uważając, że powinna być ona wyzwaniem, a nie turystyczną atrakcją dla każdego (stąd też jego krytyka wprowadzenia ułatwień technicznych na Orlej Perci).

Protestował przeciwko wybudowaniu drogi i schroniska nad Morskim Okiem, tę batalię jednak ostatecznie przegrał. Publicznie wyraził krytykę

wobec budowy kolejki linowej na Gubałówkę, a także na Kasprowy Wierch, co wyraził poprzez podanie się wraz z całym składem Państwowej Rady Ochrony Przyrody do dymisji. Chciał zachować pierwotność Tatr, dlatego też w pełni zaangażował się w próbę utworzenia Tatrzańskiego Parku Narodowego, czego jednak nie udało się dokonać za życia Pawlikowskiego.

Angażował się również w publicystykę. Związany był z pismami „Ochrona Przyrody” i „Lamus”, na łamach którego w roku 1913 **opublikował rozprawę „Kultura a naród”, uznaną za pierwszy całościowy manifest ochrony przyrody Polski.** Krajobraz naturalny stanowił dla Pawlikowskiego dziedzictwo narodowe, które należało chronić dla przyszłych pokoleń. Uważał, że turyści, mimo że przyczynili się do poprawy życia górali pod względem ekonomicznym i materialnym, nie powinni niszczyć piękna Tatr.

W rozprawie „**Kultura a naród**” Pawlikowski dokonał również wnikliwej analizy relacji pomiędzy ochroną przyrody a jej gospodarczym wykorzystaniem, a także sformułował myśli odkrywcze, wybiegające o całe dziesięciolecia naprzód. Czytając dzisiaj ww. pracę J.G. Pawlikowskiego przekonujemy się, że wiele jego myśli zachowało swoją aktualność, prowokując do dyskusji i często gorzkiej refleksji.

Ważną rolę w historii rodziny Pawlikowskich i Zakopanego odegrał – notabene odgrywa po dziś dzień – Dom pod Jedłami, wybudowany na Kozińcu według projektu Stanisława Witkiewicza. Prace rozpoczęto w roku 1896, zaś budynek zachwyca do dziś swoim pięknem, reprezentując styl zakopiański w jego najpiękniejszej odsłonie.

Trzeba myśleć o Polsce!

Analizując biografię Pawlikowskiego nie należy również pominąć pierwiastka politycznego, który odegrał w jego życiu znaczącą rolę. Już w

czasach studenckich opowiadał się za solidaryzmem i w niedługim czasie związał się z Obozem Narodowym, propagującym dynamiczny nacjonalizm. Od roku 1902 był członkiem Ligi Narodowej, a dwa lata później powołał do życia Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne (w roku 1907 pełnił funkcję prezesa ugrupowania).

Antypatia rządu austriackiego do młodego patrioty zmusiła Pawlikowskiego do opuszczenia Galicji. Zamieszkał w Żytomierzu, by w roku 1918 powrócić do Lwowa. Od 1919 zasiadał w Radzie Naczelnej Związku Ludowo-Narodowego, a następnie Stronnictwa Narodowego. Członkiem endecji był do końca życia, jednak postępująca choroba oczu zmusiła go do rezygnacji z czynnej polityki. Pawlikowski angażował się jednak, wspierając polskie inicjatywy oświatowe.

Spolecznik o wielkim sercu

Pawlikowski wspierał finansowo Bratnią Pomoc w Dublanach. Przyczynił się również do szerzenia czytelnictwa we Lwowie, gdzie udostępnił 26 tysięcy woluminów z rodzinnego księgozbioru, które później przekazał Ossolineum. Dla tak licznych zbioru dzieł literackich ufundował budowę czytelnicy.

Pracował społecznie w Galicyjskim Towarzystwie Gospodarskim, zasiadał w jury konkursów z dziedziny rolnictwa, organizował także kształcenie dla nauczycieli kursów rolniczych. Był również prezesem Banku Parcelacyjnego we Lwowie, udzielającego polskiemu chłopstwu kredytów na wykup ziemi.

Był jednym z założycieli wydawnictwa „*Wiedza i Życie*”, jak również organizatorem wielu spotkań i odczytów na terenie Przemyśla, Lwowa i Krakowa. Interesował się również twórczością Juliusza Słowackiego, czego wyrazem jest choćby praca „*Mistyka Słowackiego*”. Przygotował również publikację poematu „*Król Duch*”, którą opatrzył obszernym

komentarzem. Za pracę na tym polu nadano Pawlikowskiemu godność członka Polskiej Akademii Umiejętności.

Zmarł we Lwowie, 5 marca 1939 roku. Pochowany został na Cmentarzu Zasłużonych na Pęksowym Brzyzku w Zakopanem.

Jan Gwalbert Pawlikowski jest niewątpliwie postacią zasłużoną dla tworzenia idei koncepcji ochrony przyrody w Polsce. Nawet bardzo ogólne przyjrzenie się jego dorobkowi społeczno-politycznemu pokazuje, że jego poglądy – zarówno te społeczne jak i polityczne – mogą mieć znaczenie w dyskusji etycznej, co więcej, są zaskakująco aktualne. W tym sensie koncepcje Pawlikowskiego są bardzo interesujące poznawczo, szczególnie jako inspiracja do postrzegania moralnych zobowiązań człowieka wobec środowiska naturalnego, ale również Ojczyzny i Narodu. Warto podkreślić, że niektóre z jego postulatów pojawiły się w czasach, kiedy ludzie w zasadzie nie interesowali się zagadnieniem zobowiązań wobec środowiska, a mimo to zawierają wiele wątków, wokół których skupiła się późniejsza dyskusja, czy też ta współczesna dyskusja. Pawlikowski jako nacjonalista stworzył odrębny kierunek w światowym ruchu ochrony przyrody, który można nazwać idealistycznym lub lepiej humanistycznym, gdyż głównych motywów ochrony przyrody upatruje w idealnych wartościach przyrody, w jej znaczeniu dla naszego rozwoju duchowego.

Norbert Wasik – urodzony w 1976 r. w Zakopanem. Absolwent Kolegium Jagiellońskiego - Toruńskiej Szkoły Wyższej. Manager związany z sektorem FMCG. Dumny mąż i ojciec. Publicysta, działacz społeczny i narodowo-radykalny. Autor książki „Rozważania nad współczesnym narodowym radykalizmem”. Biegacz amator, fan długich dystansów, maratonów i biegów ultra. Pasjonat historii, gór i góralszczyzny. Idealista, romantyk i pragmatyk w jednej osobie, entuzjasta innowacji i nowych technologii.

Marcin Wilczek - Wiersze

Krucjata 2.0

*"W historię trzeba zrywać się
jak w szturm."*

Andrzej Trzebiński

Wypowiadamy akt bezwarunkowej kapitulacji przeszłych pokoleń.
Jeszcze raz stajemy do walki.

Żeglujemy na morzach myśli Greków i Rzymian- mając kompasy, które
nigdy nie zawodzą.

Bronimy cywilizacji
Od Sokratesa do Codreanu.

Nie trzeba nam rozkazów, rozumiemy się bez słów.
Strącamy w otchłań sztandary wroga.
Ostatni z wiernych

Jak ci, którzy bronili Alkazaru Toledo.

Na pogrzeb Henryka Rossmana

Czarny karawan w noc ciemną wjeżdża
Księżyc na niebie kirem Berezy
Kościół, żółte świece, katafalk.

Za chwilę zacznie się Requiem.
Wieniec z drutu kolczastego
u stóp dębowej trumny.

"Był życiem samym w sobie"
Wielkość człowieka określa
wysokość murów,
za którymi był więziony.

A na zewnątrz tłum,
który jeszcze nie wie,
że będzie za kilka lat pisał
chlubne karty historii NSZ,
oporu i konspiracji

Henryk Rossmann nie umarł
Od dzisiaj Henryk Rossman to my!
Niesie hukiem krzyk tysięcy serc
spod znaku falangi.

I o czym miałbym Ci opowiedzieć?

I o czym miałbym Ci opowiedzieć?
O pochodniach, kiedy krzyk kolumn
rozrywał czarny kir nieba?
O tym jak wiara i gniew niosą się po kamienicach?
Wspomnienia pierwszego marszu,
w ciepły wiosenny wieczór.
Szukaliśmy prawdy w książkach, które zostały po tych, którzy walczyli
przed nami.
Jak nastolatkiem wierzyliśmy w baśnie o miastach i ich obrońcach.
Mając przekonanie graniczące z pewnością, że to my właśnie wzniesiemy

nasz sztandar na gruzach cywilizacji krzycząc z całych sił "Rekonkwista!"
Walka trwa i trwać będzie
Więc nie dziw się,
Kiedy znikam za czarnym rogiem ulicy

Zbigniew Wyrębski - W obronie realizmu politycznego

[Poniższy tekst przesłany został do nas tuż przed zamknięciem numeru. W dobrym zwyczaju jest publikowanie wszelkich replik i odpowiedzi na teksty, stąd w niniejszym numerze prezentujemy poniższy tekst, a w następnym najpewniej pojawi się odpowiedź zainteresowanego, czyli naszego naczelnego.]

W ostatnim numerze „Szturmu” Grzegorz Ćwik poddaje krytyce postawę „realizmu politycznego”. Autor stawia to pojęcie w cudzysłów, co sugeruje, że krytykowane przez niego stanowisko ma niewiele wspólnego z faktycznym realizmem i sprowadza się albo do snucia alternatywnych wizji historii bez oparcia w faktografii albo do zwyczajnego oportunistycznego wobec obcej władzy. Z takim ujęciem tematu można by się jeszcze zgodzić. Zabieg ten stosowany jest jednak dość niekonsekwentnie, gdyż w dalszej części tekstu pojawia się zamiennie pojęcie realpolityki, ale już bez cudzysłowu. Z kolei w podsumowaniu autor wprost stwierdza, że „tzw. „realpolityczna” perspektywa jest całkowicie błędna, szkodliwa i jej zastosowanie nie daje pozytywnych skutków dla rozumienia procesów politycznych i historycznych.” Nie sposób zatem wywnioskować, czy ostrze krytyki kierowane jest w stronę błędnie rozumianego realizmu, czy też realizmu w ogóle.

Kolejny problem sprawia fakt, że autor nie wyjaśnia, jak rozumie istotę krytykowanej przez siebie postawy. W tekście znajdują się odwołania do licznych, dość luźno powiązanych ze sobą egzemplifikacji, dla których trudno znaleźć wspólny mianownik, chyba że są to kierowane pod ich adresem zarzuty kapitulancja i zdrady narodowej. I tak jednym tchem omówione zostały zupełnie różne wydarzenia, zjawiska i postaci: Konstytucja 3 maja, walka u boku Napoleona, powstania narodowe,

Dmowski, Studnicki, Belgia, Rumunia, Brygada Świętokrzyska, Żołnierze Wyklęci, stan wojenny, Wielomski czy Zychowicz. Na dokładkę jako emblematyczny przykład realizmu dostajemy Adama Michnika i entuzjastów Unii Europejskiej. Znow – nie bardzo wiadomo, czy przedstawione w tekście przykłady stanowią zdaniem autora wypaczenie realizmu czy też realizm *per se*. Brakuje zdefiniowania tego pojęcia a także kryterium, wedle którego można ocenić, czy dana postawa mieści się w ramach uprawnionej polityki narodowej, czy stanowi już kapitulancję i przejaw zdrady. Prezentowana krytyka jest zresztą o tyle zaskakująca, iż autor jeszcze niedawno, bo w wywiadzie udzielonym bodajże w sierpniu tego roku dla Centrum Edukacyjnego Polska, wyraził negatywny stosunek do powstania warszawskiego, słusznie wskazując, iż polityka nie polega pięknych gestach, tylko realizacji konkretnych celów w takich a nie innych okolicznościach.

Trudno więc w tym gąszczu przykładów zrozumieć, co zdaniem autora łączy Dmowskiego ze Studnickim, twórców dwóch zupełnie przeciwstawnych koncepcji geopolitycznych Polski. Studnicki był germanofilem, który swoje stanowisko uzasadniał m.in. wyższością cywilizacyjną Niemiec względem Rosji. Z tych samych jednak powodów Dmowski orientował się na Rosję, uznając, iż żywioł rosyjski nie stanowi zagrożenia dla polskiego bytu narodowego, w przeciwieństwie do żywiołu niemieckiego. **Obaj słusznie rozumieli, że Polska między Niemcami a Rosją nie może prowadzić spornej polityki wobec obu wielkich sąsiadów, gdyż musi to w dłuższej perspektywie spowodować ich wzajemne porozumienie naszym kosztem** – dla Studnickiego ceną polsko-niemieckiego sojuszu, skierowanego najpierw przeciw Rosji, a następnie przeciw Związkowi Sowieckiemu, była rezygnacja z kresów zachodnich. Dla Dmowskiego ceną za ugodę z Rosjanami była z kolei rezygnacja z odbudowy Rzeczypospolitej w granicach przedrozbiorowych i zacementowanie współpracy polsko-rosyjskiej poprzez wspólne zwalczanie ukraińskiej irredenty. Obaj publicyści wywodzili z naszego położenia zupełnie inne wnioski, jednak

to, co ich łączyło to oparcie swoich koncepcji na chłodnej kalkulacji sił oraz interesów poszczególnych graczy.

Ta mnogość różnych stanowisk w obrębie samego realizmu nakazuje patrzeć na realizm jak na metodę analizy bądź uprawiania polityki, a nie jak na gotową receptę. Nie sposób przewidywać przyszłość, można tylko kalkulować prawdopodobny rozwój wypadków i dostosowywać do niego swoje działania. Gdyby żaden polityk nie popełniał błędów, to w dziejach moglibyśmy mówić co najwyżej o stagnacji – każda zmiana w układzie sił ma przecież nie tylko zwycięzców, ale też przegranych. Natomiast autor w wielu miejscach atakuje realistów post factum, oceniając ich koncepcje z perspektywy znajomości historii. Można się z tymi koncepcjami oczywiście nie zgadzać, spierać, i robić to z perspektywy realistycznej, wskazując na błędy w analizie bieżącej sytuacji politycznej. Przykładowo Studnickiemu można zarzucić, że nieprawidłowo szacował stosunek sił państw Osi do aliantów (włączając w to ZSRR). Nie podważa to jednak samej metody, tylko wyciągnięte w oparciu o nią wnioski. Wydaje się, że dla autora problemem jest nie tyle fakt, że część z tych koncepcji obarczonych jest błędami merytorycznymi (choć autor słusznie wyłapuje takie u Studnickiego), lecz jakakolwiek postawa uległości czy ugodowości wobec sąsiednich mocarstw (względnie zaborców), w sytuacji, kiedy całkowicie bezkompromisowa polityka musiała prowadzić do upadku sprawy polskiej. Tym różni się realizm polityczny od tradycji insurekcyjnej, że realiści widzą i przyjmują ograniczenia, wynikające z obiektywnych warunków politycznych, podczas gdy dla ich oponentów ważny jest sam czyn patriotyczny, bez względu na to, jakie rodzi konsekwencje, nawet jeśli są one katastrofalne. Realisci nie sprzeciwiają się żadnej walce zbrojnej (autor walczy tu z chochołem), lecz takiej, która jest nieprzemyślana, nieprzygotowana i z góry skazana na porażkę. **Inaczej zatem powinniśmy oceniać powstania wielkopolskie (1806 oraz 1918-1919), które wybuchły w sprzyjających okolicznościach międzynarodowych, inaczej zaś**

powstanie listopadowe czy styczniowe, nie mające żadnych szans powodzenia.

Dla Dmowskiego niepodległość nie była celem samym w sobie, lecz pewnym etapem, środkiem, stanowiącym warunek szerokiego narodowego rozwoju. Istnieją jednak okoliczności, w których uzyskanie niepodległego państwa nie jest możliwe. W tym kontekście należy przyjąć, że polityka ugodowości, współpracy z zaborcą, mogła przynieść dla narodu wymierne korzyści, skutkować podtrzymaniem i rozwojem sił narodowych. Najlepszym tego przykładem jest autonomia galicyjska. Choć i w tym przypadku wskazać można na takie działania władz cesarskich, które hamowały ekspansję polskiego żywiołu, to bez tej autonomii rozwój sił narodowych byłby jeszcze bardziej utrudniony. To samo tyczy się stanowiska w polityce międzynarodowej. Głównym aksjomatem polityki zagranicznej powinno być zachowanie własnego państwa oraz substancji narodowej, nawet za cenę ustępstw wobec silniejszych sąsiadów, gdyż utrata niepodległego bytu państwowego prowadzi niechybnie do spadku znaczenia narodowej społeczności w ogólnej hierarchii narodów.

Zarówno Dmowski, Studnicki, ale także Piłsudski, szukali sposobu na rozbięcie sojuszu niemiecko-rosyjskiego. **Antagonizm wobec dwóch wielkich sąsiadów oraz oparcie polityki państwa wyłącznie na mocarstwach zachodnich (Anglia i Francja), prowadzić musi do porozumienia niemiecko-rosyjskiego skierowanego przeciw Polsce.** Było to sedno położenia międzynarodowego Polski nie tylko w latach 30-tych, ale także w trakcie I wojny światowej, pod zaborami i w XVIII wieku. Niezrozumienie zaś tej kwestii było przyczyną naszych narodowych klęsk.

Wszystko albo nic

Wyrazem tej błędnej, jak mniemam, postawy, które nie chce lub nie może dostrzec obiektywnych ograniczeń, w jakich funkcjonuje w danym momencie społeczność narodowa, jest stanowisko, zgodnie z którym wszelki kompromis, ugoda z politycznym przeciwnikiem, poczytane muszą być za zdradę narodową. Postawa taka nie kieruje się racjonalnym osądem sytuacji, lecz chciejstwem. Kryterium doboru metod walki nie jest tu szansa osiągnięcia konkretnych celów politycznych, lecz słuszność działań oceniana z perspektywy moralnej. Istotne nie jest to, czy jakieś działanie przybliży, choćby częściowo, realizację zamierzonego celu, lecz cel sam w sobie, nawet jeśli w danym momencie jest on niemożliwy do osiągnięcia. W konsekwencji nie są brane pod uwagę jakiegokolwiek półśrodki czy kompromisy, które pozwalałyby przynajmniej na częściową ochronę żywotnych interesów społeczności narodowej. Liczy się „wszystko albo nic” – albo niepodległość z zachowaniem pełnej integralności terytorialnej – albo całkowity upadek państwa i pozbawienie narodu wszelkich przejawów wewnętrznej autonomii.

Taką postawą cechuje się większość polskich elit od końca XVIII wieku. Uchwalenie Konstytucji 3 maja było próbą wzmocnienia państwa w obliczu zagrożenia ze strony trzech sąsiednich mocarstw. Tylko znowu – reformę ustrojową I Rzeczypospolitej ocenia się w polskiej dydaktyce z perspektywy moralnej, a nie z perspektywy praktycznej. Dążenia do wzmocnienia państwa można generalnie uznać za słuszne, ale pojawia się zasadnicze pytanie, w jakim kształcie i na jakim etapie powinny być realizowane. Nie jest przy tym prawdą, że jakaś polityczna logika i układ sojuszy miał przesądzać o utracie niepodległości, jak również, że likwidacja państwa polskiego wynikała bezpośrednio z niewydolności ustrojowej. Wprawdzie pozycja Polski po pierwszym rozbiórze była słaba,

nie istniało jednak bezpośrednie zagrożenie jej bytu, dopóki pozostawała ona pod kuratelą Petersburga. Rosja nie była zainteresowana upadkiem Rzeczypospolitej, lecz jej wasalizacją i stworzeniem buforu, który ochroniłaby ją od zachodu w ekspansji nad Morzem Czarnym. Warto zauważyć, że granica polsko-rosyjska zatwierdzona Traktatem Grzymułtowskiego w 1686 roku była najstabilniejszą granicą między tymi krajami w historii. Pozostała nienaruszona przez kolejne 86 lat. Najbardziej z kolei zainteresowane w zdławieniu polskiej państwowości były Prusy, dla których zachodnie połacie ziem I Rzeczypospolitej stanowiły naturalny kierunek ekspansji. Z jednej strony wzmacniały domenę Hohenzollernów gospodarczo oraz zapewniały łączność Brandenburgii z Prusami Wschodnimi. Z drugiej – aneksja tych ziem zabezpieczała granicę prusko-rosyjską przez wspólny zabór. Pomiędzy Polską i Prusami występowała fundamentalna sprzeczność interesów, ponieważ istnienie niepodległego państwa polskiego hamowało dalszy rozwój terytorialny pruskiej monarchii.

Takie zasadnicze rozbieżności nie występowały w stosunkach z Rosją. Owszem, Petersburg podporządkował sobie Rzeczpospolitą, gwarantując nienaruszalność jej ustroju. W konsekwencji Stanisław August nie mógł prowadzić samodzielnej polityki zagranicznej, musiał również liczyć się ze zdaniem rosyjskiego ambasadora w sprawach wewnętrznych, przede wszystkim w kwestii praw tzw. innowierców. Paradoksalnie polski król potrafił wykorzystać zależność od wschodniego imperium dla wprowadzania reform gospodarczych i oświatowych. **Od sejmku konwokacyjnego w 1764 roku obowiązywał regulamin sejmowy, który nie znosił co prawda liberum veto, lecz ustanawiał zasadę głosowania większością w sprawach skarbowych. Uchwalenie podatków na wojsko nie wymagało wprowadzania ustawy zasadniczej. Konstytucja 3 maja była więc pustą manifestacją polityczną wymierzoną w zależność od rosyjskiego protektora.** Dodatkowo wiązała się ona z bardzo

niebezpieczną reorientacją w polityce zagranicznej, bowiem zabezpieczeniem dla przemian w Polsce miało być przymierze zawarte z... Prusami, a więc państwem, które było najbardziej zainteresowane upadkiem naszego państwa. Prusacy uzależniali jednak wykonanie sojuszu od cesji terytorialnych w postaci Gdańska i Torunia, na co polska strona ostatecznie nie wyraziła zgody. W tej sytuacji, po uchwaleniu Konstytucji, Polacy stanęli samotnie do wojny z Rosjanami, zaś Prusy wysunęły propozycję kolejnego rozbioru. Petersburg zwlekał z podjęciem decyzji licząc, że uda jej się utrzymać Polskę w dotychczasowych granicach w orbicie swoich wpływów. Ostatecznie o II rozbiórze przesądziła niestabilna sytuacja w naszym kraju.

Powyższa analiza nasuwa pytanie, czy w tych okolicznościach mogliśmy uniknąć utraty niepodległości. Jak wskazano wyżej dwór w Petersburgu nie był zainteresowany likwidacją państwa polskiego. Rozbiory były w istocie uznawane za klęskę polityki rosyjskiej. Katarzynie II nie udało się bowiem trwale podporządkować Polski, przez co Carya zmuszona była zaakceptować podział terytorium Rzeczypospolitej przez pozostałe dwory. Roztropność nakazywała współpracę z Petersburgiem. Wiązała się ona z ograniczeniem suwerenności i koniecznością umiejętnego balansowania zarówno w polityce zagranicznej jak i wewnętrznej, co nie było łatwe, ale dawało szansę na utrzymanie własnej państwowości. Zależność od Rosji nie pozwalała na zasadniczą reformę ustrojową, ale umożliwiała pracę organiczną, stopniowe zmiany stosunków ekonomicznych. To tworzyło bazę dla ewentualnego zwrotu w polityce zagranicznej w razie zmiany koniunktury międzynarodowej. Ówczesne polskie elity nie były jednak zdolne do podjęcia tej zniuansowanej gry. Ich celem było pełna niezależność od wschodniego protektora bez względu na okoliczności – zgodnie z zasadą „wszystko albo nic”.

Ta samo motto przyświecało XIX-wiecznym insurekcjonistom. Grzegorz Ćwik wskazuje, że powstania nie pozbawiły Królestwa Polskiego swobód,

a wręcz odwrotnie – wybuchły właśnie dlatego, że swobody te były łamane. Jest to tylko po części prawda. Jako główną przyczynę powstania listopadowego podaje się nieprzestrzeganie przez carów zapisów Konstytucji z 1815 roku. Trzeba jednak mieć na uwadze, że Konstytucja została nadana przez Aleksandra I – to on był jej gwarantem i wykonawcą. Egzekwowanie postanowień ustawy zasadniczej zależało więc od dobrej woli cara. Pozycja tego monarchy nie była wówczas czymś niestandardowym – to liberalny ustrój Królestwa stanowił ewenement w skali europejskiej. Piszę o tym dlatego, że zbyt często patrzymy na ówczesne stosunki polityczne z dzisiejszej perspektywy. Traktujemy naruszenie zapisów Konstytucji jako działania wymierzoną w narodową autonomię, podczas gdy był to raczej przejaw praktyki władzy wobec poddanych, nie zaś próba uszczuplenia życia narodowego. Autonomia Królestwa została ograniczona dopiero po zdławieniu powstania. Do tego czasu działania caratu godziły nie tyle w żywotne interesy polskiej społeczności narodowej, co w prawa polityczne, dość zresztą, ograniczone, wyższych warstw społecznych. W 1815 roku na ok. 3,5 miliona mieszkańców prawa wyborcze posiadało ok. 100 tysięcy obywateli. Powstanie zostało wywołane w imię interesów dość wąskiej grupy (głównie niższych szczeblem oficerów wojska) – nie zostało poparte ani przez niższe warstwy społeczeństwa ani przez polskie elity (np. generalicję).

O ile w sferze politycznej sytuacja w Królestwie Polskim przed wybuchem powstania ulegała pogorszeniu, o tyle w kwestiach gospodarczych następował znaczny postęp, co było m.in. zasługą polityki ministra skarbu – księcia Ksawerego Druckiego-Lubeckiego. W okręgu łódzkim powstał nowoczesny ośrodek włókienniczy z pierwszymi maszynami parowymi. W zagłębiu dąbrowskim rozwinął się przemysł hutniczy. Rozpoczęto budowę kanału augustowskiego, który miał pozwolić na ominięcie wysokich pruskich taryf celnych. W rolnictwie wprowadzono płodozmian w miejsce trójpolówki. Pomimo silnej władzy cara i zależności od Rosji, Królestwo Polskie stanowiło odrębne państwo.

Posiadało własną armię z polskimi barwami oraz polską władzę cywilną i szkolnictwo.

W tym czasie powstał Uniwersytet Warszawski (1816), Szkoła Górnicza w Kielcach (1817) oraz Instytut Agronomiczny w Marymoncie (1818).

Polska oświata funkcjonowała również na tzw. Ziemiach Zabrzanych.

Uniwersytet Wileński był wówczas największą szkołą wyższą – nie tylko w zaborze rosyjskim, ale także w całym Imperium. Uczelnie tej podporządkowane zostało szkolnictwo ośmiu zachodnich guberni, zamieszkałych przez prawie 9 milionów ludzi. Polacy na terytorium zaboru rosyjskiego posiadali szeroki samorząd lokalny oraz przeważali na stanowiskach administracji państwowej. **Te istotne, realne atrybuty polskiej autonomii poświęcono w imię dość mglistych, niepewnych i trudnych do uchwycenia korzyści.**

Tak jak wybuch powstania listopadowego skłonił cara Mikołaja I do likwidacji autonomii Królestwa Polskiego, tak wybuch powstania styczniowego zniweczył reformy Aleksandra Wielopolskiego, doprowadzając do usunięcia resztek odrębności i zamiany Kongresówki w „Priwislinskij kraj”, poddany intensywnej rusyfikacji. Branka nie była przyczyną wybuchu powstania styczniowego. Co prawda przyspieszyła decyzję o podjęciu przez konspiratorów działań zbrojnych ze względu na przewidywane represje, jednak same przygotowania do insurekcji rozpoczęły się przed ogłoszeniem poboru.

Jak wcześniej wspomniałem głównym problemem naszego położenia w XIX wieku był sojusz prusko-rosyjski. Dopóki państwa te współpracowały ze sobą w sprawie polskiej, dopóty nie było szans na odzyskanie niepodległości. W tym kontekście należy odczytywać przywołaną przez autora wypowiedź Bismarcka na temat polskich zrywów narodowych. Otóż Prusakom zależało właśnie na tym, aby Polacy wywoływali powstania przeciwko Rosji, przypominając tym samym o „sprawie polskiej” na arenie międzynarodowej. Wszelkie ruchawki angażowały siły

rosyjskie, osłabiały stosunki Rosji z pozostałymi mocarstwami, a tym samym wzmacniały współpracę prusko-rosyjską w oparciu o dławienie polskiego ruchu niepodległościowego. Wymownym świadectwem pruskiej polityki jest Konwencja Alvenslebena. Po wybuchu powstania styczniowego, 8 lutego 1863 roku, została podpisana umowa zobowiązująca Prusy do udzielenia pomocy wojskom rosyjskim w razie gdyby powstańcy pojawili się na granicy prusko-rosyjskiej lub próbowali ją przekroczyć. Konwencja pozornie była prorosyjska. W istocie osłabiała Rosję, gdyż jako pierwsza umiędzynarodowiła sprawę polską, wywołując sprzeciw Francji, Wielkiej Brytanii oraz Austrii. Jednocześnie, wobec izolacji Rosjan, waloryzowała przyjaźń pruską w ich oczach. Bismarck dzięki temu genialnemu posunięciu osiągnął co najmniej dwa cele: złamał groźbę rysującego się sojuszu francusko-rosyjskiego, a ponadto zapewniał sobie neutralność Rosjan w planowanym konflikcie z Austrią.

Od czasu Kongresu Wiedeńskiego interesy zaborców coraz bardziej się rozjeżdżały, jedyne co je łączyło to utrzymanie status quo w sprawie polskiej. Austria rywalizowała z Prusami o dominację w Niemczech, z Rosją o posiadłości na Bałkanach. Było kwestią czasu pojawienie się zgrzytów na granicy prusko-rosyjskiej. W latach 60-tych XIX wieku Francja szukała zbliżenia z państwem carów przeciwko monarchii Hohenzollernów. Prusy i Rosja były więc blisko znalezienia się w przeciwnych obozach, co realnie przybliżało konfrontację między tymi państwami. Powstanie styczniowe stworzyło okazję, którą umiejętnie wykorzystał Bismarck, by zażegnać potencjalny konflikt w środkowej Europie i zacementować sojusz rosyjsko-pruski. Gdy na początku XX wieku, nie istniało zagrożenie polskiej irredenty, drogi tych dwóch mocarstw definitywnie się rozeszły, co skutkowało wybuchem I wojny światowej. Wiele wskazuje na to, że do konfliktu mogło dojść znacznie wcześniej. Nader interesująco przedstawiałaby się sytuacja, gdybyśmy do tego czasu zachowali namiastkę państwa oraz własną armię jak w 1830 roku. Konkludując tę część rozważań, można powiedzieć, że **powstania**,

zamiast przybliżyć, oddalały moment odzyskania przez Polaków niepodległości.

U progu niepodległości

Po upadku powstania styczniowego sytuacja polityczna w Królestwie zmieniła się diametralnie. Zniesiono ostatnie swobody, a Polacy zostali poddani intensywnej rusyfikacji. Zarówno w administracji jak i w szkolnictwie obowiązkiem stało się stosowanie języka rosyjskiego. Język polski został zepchnięty do sfery kontaktów prywatnych. W tych zmienionych warunkach inaczej należy postrzegać aktywność polityczną w zaborze rosyjskim. O ile po Kongresie Wiedeńskim czy w przededniu powstania styczniowego władze rosyjskie wysuwały do Polaków propozycje ugody, które należało podjąć ze względu na brak innych realnych możliwości realizacji polskich interesów narodowych, o tyle po 1864 roku carowie nie byli zainteresowani jakimkolwiek porozumieniem z polskim społeczeństwem i autonomią Królestwa. Do tego doszło zdecydowanie większe uświadomienie polityczne mas. Inaczej zatem niż w czasach przepowstaniowych, aktywny opór ze strony Polaków stał się warunkiem, a nie grzebaczem, ustępstw ze strony władz rosyjskich. Stanowcza artykulacja polskich postulatów wymagała jednak narzucenia pewnych samoograniczeń. Fakt, że Rosja nie radzi sobie z wojną na Dalekim Wschodzie z państwem, aspirującym do roli regionalnego mocarstwa, nie oznaczał przecież, że nie poradzi sobie ze zdławieniem rozruchów społecznych w swej europejskiej części. Dmowski rozumował w ten sposób, że większy rozmiar rewolucji przyniesie ze sobą również większą klęskę, a więc dotkliwszą skalę porewolucyjnych represji. W tym kontekście zrozumiałym stanie się popieranie tych żądań i form działalności, które wywierały presję na władze rosyjskie, ale w granicach, które mogły być przez nie tolerowane i skłonić do zawarcia jakiejś formy kompromisu. Nie kwestionowano więc zastanego porządku,

jak czynili to socjaliści, gdyż oznaczałoby to wojnę na wyniszczenie, którą Polacy musieli przegrać. Doraźnie nie formułowano również deklaracji budowy niepodległego państwa, co nie znaczy, że rezygnowano z podniesienia tego postulatu w przyszłości.

Trzeba pamiętać, że większość ruchu socjalistycznego nie ograniczała się w swoich postulatach do wprowadzenia reform socjalnych, ale opowiadała się za całkowitą przebudową społeczeństwa w duchu rewolucyjnym. To nie podobało się nie tylko przemysłowcom i fabrykantom, ale także drobnym handlarzom i rzemieślnikom oraz chłopom. Można oczywiście popierać światową rewolucję i socjalizm, wychodząc z takich lub innych pobudek ideowych, nie stanowi to jednak przedmiotu naszych rozważań. Wypada w tym miejscu tylko przypomnieć, że komitet wyborczy stronnictw zgrupowanych wokół endecji zdobył w wyborach do sejmu w 1922 roku 36% mandatów. Poza blokiem wystartował PSL-Piast, któremu udało się pozyskać prawie 16% głosów, podczas gdy na taki PPS głosowało ledwie ponad 9% wyborców. Skala poparcia dla endecji stanie się jeszcze bardziej wyraźna, jeśli uwzględnimy, że Polacy stanowili 67% wszystkich wyborców, co oznacza, że blok chrześcijańsko-narodowy uzyskał statystycznie ponad połowę głosów obywateli polskiej narodowości. Doprawdy, chciałbym, żeby w dzisiejszej Polsce klasa posiadająca była aż tak liczna.

Wracając do tematu – endecja była wrogo nastawiona zarówno do koncepcji zbrojnej walki z caratem, gdyż groziło to eskalacją represji, jak również do treści rewolucyjnych żądań. Negatywnie oceniała hasła klasowe, widząc w nich osłabienie zwartości narodowej i odrywanie robotników od poczucia przynależności narodowej pod hasłem walki klas i międzynarodowej solidarności proletariatu. Do solidaryzowania się z rosyjskimi robotnikami w walce rewolucyjnej wzywała komunistyczna SDKPiL oraz młodzi działacze PPS-u. Natomiast „starzy”, skupieni wokół Piłsudskiego, chcieli przekształcić narastające w masach nastroje

rewolucyjne w antyrosyjskie powstanie, co musiałyby skończyć się katastrofą.

Pierwsza fala strajków w Kongresówce, w styczniu i w lutym 1905 roku, przyniosła pewną poprawę bytu robotników. Uzyskano średnio 10% podwyżki uposażenia i skrócenie dnia pracy o godzinę. W wielu fabrykach wywalczono kasy chorych i bezpłatną opiekę lekarską, polepszyło się też traktowanie robotników. Podstawowe postulaty socjalne zostały więc osiągnięte. Mimo to w maju ruszyła druga fala protestów, kierowana przez partie robotnicze. Doszło do starć zbrojnych w Warszawie i w Łodzi. W tej drugiej miejscowości protesty przybrały charakter rewolucyjny. Interweniowała armia rosyjska, a w mieście i w powiecie wprowadzono stan wojenny. W starciach z wojskiem zginęło, według oficjalnych źródeł policyjnych, 151 osób, w tym 55 Polaków, 79 Żydów i 17 Niemców, co obrazuje jaki żywioł narodowy dominował wśród samych protestujących. 30 października władze ogłosiły manifest konstytucyjny. Zapowiadano w nim zwołanie Dumy wyposażonej w uprawnienia ustawodawcze i uznano podstawowe prawa obywatelskie. Do tego momentu osiągnięto zatem podstawowe cele polityczne i socjalne. Z punktu widzenia endecji dalsze protesty były bezcelowe i prowadziły jedynie do zaognienia konfliktu z caratem w imię interesów rewolucyjnych wąskiej grupy społecznej (proletariat stanowił wówczas zdecydowaną mniejszość społeczeństwa polskiego). 5 listopada Liga Narodowa zorganizowała wielki pochód narodowy w Warszawie. Miał on, podobnie jak i manifestacje w innych miastach Kongresówki, wywrzeć nacisk na władze, by przyznały Królestwu autonomię.

Jak widać, **endecja nie ograniczała się tylko do walki z socjalistami**. Przystąpiła do tworzenia polskich związków zawodowych, do których przyjmowano wyłącznie Polaków. Kierowała również akcją mającą na celu wprowadzenie języka polskiego w urzędowaniu gmin, co

już w czerwcu 1905 roku zakończyło się sukcesem. Po wybuchu strajku szkolnego endecy powołali Związek Unarodowienia Szkół, wspierając hasło polonizacji oświaty. W kwietniu władze rosyjskie zgodziły się na wprowadzenie w szkołach publicznych języka polskiego jako przedmiotu, a także na prowadzenie po polsku lekcji religii. Zaakceptowano również nauczanie w języku polskim w szkołach prywatnych, wyłączając jedynie historię, geografię i język rosyjski, które miały być wykładane po rosyjsku. W maju 1905 roku, z inicjatywy endecji, powołano Polską Macierz Szkolną. Stowarzyszenie organizowało tajne kursy pedagogiczne, na których przygotowywano nauczycieli do nauczania po polsku. Polska Macierz Szkolna została zalegalizowana i prowadziła 800 szkół obejmujących 63 tysiące dzieci. W większości były to małe szkoły wiejskie. Zorganizowała też 600 bibliotek i czytelni. Prowadziła 4000 ochronek, a także szkolnictwo dla dorosłych: od kursów dla analfabetów po działający w Warszawie Uniwersytet Ludowy kształcący robotników i rzemieślników. Niestety, w grudniu 1907 roku w ramach porewolucyjnych represji PMS została zlikwidowana.

Punktem zwrotnym było stłumienie grudniowego strajku w Moskwie. Zapał rewolucyjny został zgaszony, więc dalsza działalność protestacyjna pozbawiona była politycznego sensu. To głównie w tym czasie dochodziło do starć między bojówkami socjalistycznymi a związanym z endecją Narodowym Związkiem Robotniczym. Ostatecznie żadna z polskich inicjatyw nie przyniosła trwałych rezultatów. Dmowskiemu nie udało się przekonać carskiej administracji do nadania Królestwu autonomii. Można oczywiście spierać się, na ile endecja prawidłowo oceniała nastroje polityczne ówczesnych władz rosyjskich. Dmowski być może zbyt mocno ufał w możliwość ugodowego ułożenia się z caratem. Ale ogólny kierunek polityczny został obrany prawidłowo: powstanie nie miałoby szans powodzenia, a dodatkowo groziło interwencją zbrojną Niemiec. Pewnym paradoksem jest, że w czasie rewolucji 1905 roku większość społeczeństwa walczyła o rozwiązania, które funkcjonowały już wcześniej, zaraz po Kongresie Wiedeńskim – cieszyliśmy się wtedy dość szeroką

autonomią, w tym polską oświatą. **Powstania narodowe cofnęły nas politycznie.**

Kolejny zarzut odnosi się do stanowiska endecji w I wojnie światowej. Zarzut ten czyniony jest jednak ex post, tj. z perspektywy znajomości tego, jak potoczył się wspomniany konflikt, czego nie dało się przewidzieć w momencie formułowania programów orientacyjnych. Ostatecznie przecież **Dmowski słusznie zakładał, że to państwa Ententy wygrały wojnę**, natomiast jednoczesna przegrana Rosji przy zwycięstwie jej koalicjantów nie była taka oczywista, jak próbuje suponować to autor. Przede wszystkim bezpośrednią przyczyną klęski Rosji było zwycięstwo rewolucji, która w odpowiednim momencie mogła zostać skutecznie zdławiona, zabrakło jednak politycznej woli i zdecydowania rosyjskich władz. Nie mówiąc już o tym, że w żadnej mierze **nie było możliwe do przewidzenia zwycięstwo rewolucji bolszewickiej**, która skłóciła Rosję z resztą państw europejskich, stwarzając w ten sposób swoistą próżnię polityczną na wschodzie i wyłom w systemie francuskich aliansów. Nieuzasadnione jest również porównanie sytuacji na froncie europejskim z frontem dalekowschodnim. Wojna z Japonią była prowadzona przez Rosję samodzielnie, bez wsparcia sojuszników. Toczyła się na dalekich peryferiach państwa, skomunikowanych jedynie koleją transsyberyjską z mocno ograniczoną przepustowością. Kraj Nipponu wspierała Wielka Brytania ze swoimi kredytami. Natomiast w Europie Rosja połączona była sojuszem z Wielką Brytanią i Francją, flankującym Niemcy od zachodu. Przewaga Ententy nad państwami centralnymi, zarówno pod względem demograficznym jak i ekonomicznym, była przytłaczająca. Trójporozumienie przeznaczało także więcej środków na zbrojenia. Niemiecki plan wojenny zakładał więc szybkie rozbięcie Francji a następnie przerzucenie wojsk na front wschodni. Porażki wojsk rosyjskich w pierwszych miesiącach konfliktu spowodowane były m.in. błędem niemieckich sztabowców, którzy po zwycięstwie w sierpniowej bitwie granicznej w pobliżu Belgii uznali, że armia francuska została

rozbita, wysłali więc część sił do Prus Wschodnich. **To osłabienie armii niemieckiej na froncie zachodnim przyczyniło się do klęski we wrześniowej bitwie pod Marną, która przesądziła losy wojny. Odtąd porażka Niemiec była kwestią czasu – gdyby zawarto wówczas kompromisowy pokój do żadnego upadku Rosji by nie doszło.**

Z tej perspektywy koncepcja Dmowskiego wydaje się słuszna. Po pierwsze, wiązała sprawę polską ze stroną zwycięską. Po drugie, jedynie wygrana Ententy stwarzała szansę zjednoczenia ziem wszystkich zaborów. W razie utrzymania się Rosji w obozie zwycięzców, co z całym prawdopodobieństwem mogło się wydarzyć (to raczej rewolucja bolszewicka była swoistym „czarnym łabędziem”, używając popularnego ostatnimi czasy określenia), decyzje odnośnie terytoriów zamieszkałych przez Polaków i tak zapadły by między zwycięskimi mocarstwami. Dmowski uważał, że zjednoczenie ziem polskich pod berłem carów wymusi na Rosji ustępstwa. Autor jako kontrargument przywołuje casus Ukrainy. Problem w tym, że Ukraińcy w zaborze rosyjskim mieli słabo rozbudzoną świadomość narodową, a najbardziej rozwinięte pod tym względem ziemie znajdowały się w monarchii Austro-Węgierskiej (Galicja Wschodnia). Bardzo istotną rolę odrywał tu czynnik religijny. Prawosławna część Ukrainy pozostawała silnie powiązana kulturowo z Rosją, czego skutki widoczne są także dzisiaj. **To m.in. różnice w poczuciu świadomości narodowej sprawiły, że Polakom, przeciwnie niż Ukraińcom, udało się po I wojnie światowej obronić swą niepodległość.**

Czy opowiedzenie się po stronie państw centralnych stanowiło realną alternatywę? Zwycięstwo Niemiec lub, co bardziej prawdopodobne, zawarcie separatystycznego pokoju z carską Rosją, stwarzało Polakom dość mgliste perspektywy. Czy monarchia Hohenzollernów zrzekła by się Śląska, Pomorza Wschodniego lub choćby Wielkopolski? W planach było

raczej utworzenie, zależnego od Niemiec, kadłubowego państwa polskiego z ziem odebranych Rosji. Wątpliwe także, by do takiego tworu przyłączono Kresy Wschodnie. Celem Niemiec na froncie wschodnim było stworzenie państwa ukraińskiego, które w naturalny sposób ciążyło by w stronę państw centralnych. Wystarczy wspomnieć, że 9 lutego 1918 roku, zawarto traktat z Ukrainą, na mocy którego ta otrzymywała Chełmszczyznę, zaś Austro-Węgry zobowiązały się utworzyć z Galicji Wschodniej i Bukowiny nowy kraj koronny. Czym zatem miałyby się różnić jakościowo taki twór od Królestwa Polskiego, utworzonego po Kongresie Wiedeńskim? Dlaczego zależność od Niemiec bądź od Austro-Węgier ma być jakościowo inna (lepsz?) od zwierzchności rosyjskiej?

Jak widać położenie Polaków w przededniu I wojny światowej przedstawiało się dość skomplikowanie i błędnym jest założenie, że możliwe było sformułowanie gotowych, w pełni sprawdzalnych recept. **Realizm nie polega na przewidywaniu przyszłego stanu rzeczy, ale na rozeznaniu aktualnej sytuacji i dopasowania do niej swych działań. Dmowski nie trzymał się kurczowo własnych koncepcji, lecz dostosowywał je do zmieniających się na bieżąco okoliczności.** Jesienią 1915 roku, a więc przed wybuchem rewolucji w Rosji, uznał, że nie osiągnie porozumienia z caratem. Wobec tego **wyjechał na Zachód, gdzie przekonywał europejskie mocarstwa do polskich postulatów.** Podobnie swoje postępowanie dostosowywał Piłsudski – gdy zaczął ciążyć mu taktyczny sojusz z państwami centralnymi zerwał z nimi przy okazji kryzysu przysięgowego. Zresztą, jeśli chcielibyśmy oceniać słuszność programów orientacyjnych ex post, to należałoby dojść do wniosku, że koncepcja Dmowskiego oparta była na racjonalnych podstawach. Ostatecznie to **endecja związała się z obozem zwycięzców, co umożliwiło przygotowanie zachodniej opinii do korzystnych dla Polski rozwiązań w przyszłym traktacie pokojowym.** Potwierdzeniem słuszności oparcia się o państwa Ententy była wspomniana postawa Piłsudskiego w czasie kryzysu przysięgowego. Przypomnijmy także, że

pomimo zawarcia przez rewolucyjną Rosję separatystycznego pokoju z Niemcami w Brześciu Litewskim w styczniu 1918 roku, Traktat Wersalski przewidywał całkowite wycofanie wojsk państw centralnych ze wschodniej Europy. To stworzyło przestrzeń dla samodzielnego kształtowania granic niepodległej Polski. W istocie, Polacy orientując się na różne strony konfliktu, „grali polską melodię na różnych fortepianach”. Dzięki temu możliwe było lawirowanie między zaborcami i licytowanie karty polskiej.

Między dżumą a cholera

Przejdźmy do II wojny światowej. Sugestie niemieckie dotyczące włączenia Gdańska do III Rzeszy i budowy eksterytorialnej autostrady łączącej Prusy Wschodnie z Berlinem nie były częścią realizacji jakiegoś szerszego planu podboju Polski. Takie spojrzenie dominuje obecnie ze względu na znajomość dalszych wypadków, do których doszło jednak nie ze względu na przyjęcie niemieckich żądań, a ich odrzucenie. W istocie, rozmowy na temat uregulowania statusu Wolnego Miasta toczyły się mniej więcej od końca 1937 roku i stały się elementem szerszej koncepcji kompleksowego rozwiązania spornych kwestii polsko-niemieckich (tzw. globallösung), co było zresztą pomysłem Józefa Becka, zaakceptowanym przez polityków III Rzeszy. Dla Polski najważniejszą kwestią pozostawała wówczas akceptacja przez Niemcy wspólnej granicy. Przez ponad rok trwały negocjacje, w których, wraz ze wzmocnieniem pozycji III Rzeszy (anschluss Austrii, zajęcie Sudetów, a następnie Czech i Moraw), Polska siłą rzeczy stawała się stroną słabszą. W toku tych rozmów polskie MSZ nie zgłaszało generalnych zastrzeżeń co do swobody politycznego rozwiązania przyszłości Gdańska przez Niemców, nie wykluczając włączenia miasta do Rzeszy. Jednocześnie strona niemiecka sygnalizowała takie uregulowanie sprawy gdańskiej, które zabezpieczało by polskie interesy gospodarcze. Deklarowano zagwarantowanie Polsce eksterytorialnych połączeń kolejowych do polskiego eksterytorialnego

portu w Gdańsku oraz stosowne ułatwienia gospodarcze. Rzeczpospolita miała w zamian zgodzić się na wspomnianą wcześniej eksterytorialną autostradę do Prus Wschodnich. Jak widać propozycje uregulowania kwestii Wolnego Miasta polegały na wzajemnych ustępstwach, przy czym Gdańsk był miastem etnicznie niemieckim, zaś polskie prawa na jego obszarze miały charakter wyłącznie symboliczny. Dodatkowo Ribbentrop proponował m.in. wspólne załatwienie problemu Rusi Zakarpackiej, co oznaczało odejście Niemiec od koncepcji wspierania ukraińskiej irredenty. Ewentualne ustępstwa Polski nie byłyby żadnym kapitulancstwem, lecz próbą kompromisowego rozwiązania spornych kwestii z silniejszym sąsiadem przy poszanowaniu obopólnych interesów.

Z niemieckiego punktu widzenia, jeśli uwzględnimy wcześniejsze stanowisko rządów Republiki Weimarskiej, były one najdalej idącą ofertą normalizacji wzajemnych relacji. Do porozumienia nie doszło nie ze względu na rzekomo ogromną wagę, jaką posiadał Gdańsk dla pozycji Rzeczypospolitej, lecz z uwagi na polską opinię publiczną, zachłyśniętą mocarstwową propagandą po zajęciu Zaolzia, związane z tym interesy obozu władzy i prawdopodobnie odejście Becka od koncepcji współpracy z Niemcami po jego porażce w próbie zwasalizowania Słowacji.

Można przyjąć, że w dłuższej perspektywie III Rzesza dążyłaby do ścisłego podporządkowania Polski. Jednak tak długo, jak Rzeczpospolita była potrzebna do realizacji niemieckich interesów, a więc praktycznie do zakończenia wojny z Zachodem, a następnie ze Związkiem Sowieckim, Hitler godziłby się na pewne ustępstwa. Świadczyć może o tym zgoda Rzeszy na posiadanie przez Włochów terenów Górnej Adygi, zamieszkałych prawie wyłącznie przez ludność niemiecką, mimo że roszczenia Rzeszy do tej prowincji nie ustępowały wadze roszczeń do Nadrenii, Sudetów czy Gdańska. Inną ciekawą okolicznością jest fakt, że Niemcy pierwotnie planowali włączenie Wolnego Miasta do Rzeszy po

wyborach w marcu 1939 roku, jednak wstrzymali się z tą decyzją do czasu ostatecznych uzgodnień z polskim rządem. Nawet po wygraniu kampanii wrześniowej III Rzesza planowała pozostawić kadłubowe państwo polskie, na co zgody nie wyraził Stalin. Przykładem prowadzenia polityki wymykającej się zwierzchnictwu Berlina jest postawa Węgier po agresji Niemiec na Polskę. Pomimo sojuszu z Hitlerem, Węgry odmówiły wzięcia udziału w Kampanii Wrześniowej, a po upadku państwa polskiego otworzyły granicę dla tysięcy polskich uchodźców.

Państwa, które były sojusznikami III Rzeszy uniknęły poważnych strat ludnościowych i materialnych. Ich powojenny los był w najgorszym razie porównywalny z Polską. Rumunia, przywoływana przez autora, dokonała w toku działań wojennych zmiany sojuszu, odzyskując utracone wcześniej na rzecz Węgier ziemie. Szacuje się, że straciła ona 3,13% populacji, z czego 200 tysięcy ludności cywilnej (głównie żydowskiego pochodzenia). **Polskie straty ludnościowe wyniosły ok. 17%.**

Zginęło 6 mln obywateli II RP, z czego blisko połowę stanowiły osoby polskiej narodowości. Naddunajska monarchia u progu wojny zajmowała powierzchnię 295 tysięcy km² i liczyła blisko 16 mln mieszkańców. W 1940 roku na skutek Drugiego arbitrażu wiedeńskiego zmuszona była oddać Węgrom część Siedmiogrodu o powierzchni 43 tysięcy km², zamieszkałą przez 2,5 mln ludzi. Wkrótce potem odstąpiono Bułgarii południową Dobrudżę – obszar o powierzchni 7,5 tysiąca km² z 400 tysiącami mieszkańców, w większości Bułgarami i Turkami (w całej południowej Dobrudży Rumuni stanowili ok. 20% ludności).

Jednocześnie nastąpiło przesiedlenie ludności: ok. 110 tysięcy Rumunów przeniosło się na północ, a 77 tysięcy Bułgarów na południe. Na skutek niemieckiej interwencji Rumunia utraciła więc ok. 17% terytorium, a nie jak podaje autor połowę. Uwzględniając nawet aneksje sowieckie (Besarabia i Bukowina) łączne straty terytorialne i ludnościowe wyniosły 1/3 obszaru i 2/5 liczby ludności z 1939 roku. Związek Radziecki zajął bowiem ziemie o powierzchni 50 762 km² i populacji 3 776 309. Nadal są to duże straty, warto jednak zadbać o szczegóły. Trzeba także pamiętać,

że Rumunia nie była wtedy sojusznikiem III Rzeszy i nie mogła samodzielnie oprzeć się sowieckiej agresji. Z kolei brak zgody na arbitraż niemiecki w sporze z Węgrami oznaczałby prawdopodobnie zajęcie przez Madziarów całego Siedmiogrodu, a być może również okupację Rumunii przez państwa Osi ze względu na zasobność tego kraju w złoża ropy naftowej. Jednocześnie udział w wojnie przeciwko ZSRR umożliwił Rumunii tymczasowe odzyskanie Mołdawii, a nawet okupację Transnistrii z Odessą. Co ciekawe po wyzwoleniu Besarabii część rumuńskich polityków postulowała zakończenie działań wojennych, jednak gen. Antonescu postanowił przekroczyć Dniepr, licząc na korzystne w przyszłości rozstrzygnięcia w sprawie Transylwanii. Być może był to odpowiedni moment dla Rumunii, by zaprzestać dalszych kampanii militarnych.

Nie jest prawdą, że Rumunii bez zająknięcia się przyjęli komunizm, a stalinizm tolerowali do 1989 roku. Wręcz przeciwnie: po zakończeniu działań wojennych silną pozycją w kraju cieszył się król Michał, a w wyborach parlamentarnych w 1946 roku rzeczywiste wyniki wskazywały na zwycięstwo Narodowej Partii Chłopskiej (coś jak nasz PSL). Schemat przejmowania władzy przez komunistów był jednak podobny jak w innych państwach: pod osłoną wojsk radzieckich wyniki wyborów zostały sfalszowane. Opozycja oprotestowała rezultat głosowania, niestety król Michał, obawiając się utraty tronu, uznał zwycięstwo partii komunistycznych i powierzył im utworzenie nowego rządu. W latach 50-tych Rumunia zaostrzyła kurs wobec Związku Sowieckiego. Wojska radzieckie opuściły kraj w 1957 roku (Polskę w 1991 roku). Zdyktansowano się od RWPG i otwarto na częściową współpracę z Zachodem. Rumunia nie wzięła udziału w interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji i otwarcie potępiła interwencję w tym kraju, zawieszając udział swych wojsk w strukturach sojuszu. Ceaușescu forsował ideologię narodowego komunizmu, zrehabilitował część dawnych działaczy prawicowych i ofiary stalinizmu. Na sytuację

poszczególnych państw Europy Środkowej wpływ miał splot różnorodnych czynników, byłbym więc ostrożny w tworzeniu daleko idących analogii.

Nie jest także przesądzone, że udział wojsk polskich po stronie Osi spowodowałyby jakąś głęboką, strukturalną komunizację społeczeństwa. Węgry mimo, że byli najwierniejszym sojusznikiem III Rzeszy, pierwsze przeciwstawiły się zbrojnie armii sowieckiej po zakończeniu wojny (Rewolucja 1956). Obecnie zaś jest to naród, który prowadzi dość samodzielną i asertywną politykę.

Nie wiem, czy pójście z Niemcami na Związek Sowiecki było wówczas najlepszym rozwiązaniem (jest to temat na odrębną, głębszą analizę), ale póki istniały struktury państwa polskiego, nawet jeśli zależne w mniejszym lub większym stopniu od innego mocarstwa, dopóty istniała możliwość prowadzenia własnej polityki, lawirowania między różnymi ośrodkami władzy, ratowania polskiej substancji narodowej, elit intelektualnych, przemysłu i dóbr kultury, a w ostateczności zmiany orientacji w polityce zagranicznej. Brak własnego państwa takie szanse całkowicie przekreślał, oznaczał pozbawienie Polski podstawowych narzędzi oddziaływania na rzeczywistość (niewielkiego, ale zawsze). Zamiast tego staliśmy się dla zachodnich aliantów uciążliwym problemem, zdanym w istocie na łaskę Stalina. Przyjmując żądania niemieckie, Polska traciła niewiele, zyskiwała natomiast cenny czas, wojsko i możliwość manewru. Głównym celem militarnym Hitlera przed atakiem na Związek Sowiecki była Francja. Do tego potrzebował sojuszu z Rzeczpospolitą, która zabezpieczała by Niemcy od wschodu. Brak zgody Polski wymusił rewizję tych planów i wyeliminowanie w pierwszej kolejności naszego kraju. To nie Francuzi mieli ginąć za Gdańsk, jak głosi słynne hasło; to Polacy ginęli za Francję. Z tej perspektywy pierwsze uderzenie Niemiec powinno pójść nad Sekwanę, a nie nad Wisłę, tym bardziej, że Francja była silniejszym państwem od Polski i teoretycznie miała szansę powstrzymać uderzenie niemieckie. Polska zyskałaby z

jednej strony czas na lepsze przygotowanie się do działań zbrojnych, z drugiej możliwość reagowania w zależności od dalszego rozwoju sytuacji. Warto w tym miejscu zauważyć, że we wrześniu 1939 roku Niemcy dopiero testowali doktrynę wojny błyskawicznej. Uderzenie skierowane w pierwszej kolejności na Francję mogło nie odnieść tak dobrego rezultatu, jaki w rzeczywistości przyniosła niemiecka ofensywa w maju 1940 roku.

Przeciwnicy koncepcji sojuszu Polski z Niemcami w 1939 roku opierają się najczęściej na dwóch skonstruowanych post factum argumentach. Wskazują na politykę eksterminacji Polaków przez III Rzeszę oraz fakt ostatecznego zwycięstwa Związku Sowieckiego, a tym samym dotkliwsze konsekwencje, jakie mogła ponieść Polska, walcząc po stronie państw Osi. Rzecz w tym, że politykę Józefa Becka należy oceniać całościowo, a także z perspektywy posiadanej przez niego wiedzy. Jeśli więc Beck mógł przewidzieć taki rozwój wypadków, to powinien próbować przeciwstawić się ekspansjonistycznej polityce Niemiec najpóźniej w 1938 roku, przed rozbiorem Czechosłowacji. Istniała wówczas możliwość wsparcia południowego sąsiada w oparciu o Małą Ententę i udział Wielkiej Brytanii. W ostateczności mógł pójść na układ ze Związkiem Radzieckim (skoro zwycięstwo Sowietów miało być przesądzone) lub przynajmniej zamarkować porozumienie z tym państwem. Wiemy jednak, że Beck w ten sposób nie kalkulował. Podejmował decyzje w oparciu o inne przesłanki, a wojsko polskie zamiast do wojny obronnej przygotowywane było do działań ofensywnych. W tym kontekście próby tworzenia alternatywnych wizji historii stanowią pewien przyczynek do ogólnej refleksji nad polityką zagraniczną naszych przywódców w dwudziestoleciu międzywojennym, a nie gotową receptę na wszystkie jej bolączki. **Polityka ta była irracjonalna, opierała się na błędnych przesłankach i dlatego należy ocenić ją krytycznie.**

Trudno przewidzieć, w jakim kierunku potoczyłaby się historia, gdyby Polacy więcej kierowali się instynktem samozachowawczym, a mniej

górnolotnymi frazesami. Z całą jednak pewnością politycy nie powinni podejmować decyzji w oparciu o przesłanki, które są nieweryfikowalne, a do takich należą wszelkie rozważania o zupełnie abstrakcyjnej przyszłości. Nie wiemy zatem, jak ukształtowałyby się nasza tożsamość bez narodowych powstań, ale i wiedza taka, niemożliwa przecież do osiągnięcia, nie stanowi kryterium oceny wyborów politycznych. Tym kryterium są czynniki, które można zdefiniować w momencie podejmowania decyzji: siła armii, powierzchnia, potencjał demograficzny, ekonomiczny i kulturowy, przewidywalne skutki. **We wszystkich tych obszarach żywioł polski ponosił od końca XVIII wieku straty.** Tożsamość jest płynna, trudna do uchwycenia, może się rozwijać w różnych warunkach. Natomiast stan narodowego posiadania stanowi coś namacalnego, co łatwo można utracić. Raz na zawsze.

Oczywiście zgodzić się trzeba, że historia buduje narodową tożsamość. Nasza została w dużej mierze ufundowana na klęskach, co naturalnie rodzi kompleksy. Błędne pojmowanie własnej historii powoduje brak zrozumienia dla mechanizmów funkcjonowania polityki, a w konsekwencji podejmowanie błędnych decyzji. Nie wykształciliśmy w sobie jako naród instynktu samozachowawczego oraz racjonalnego podejścia do rozwiązywania sporów i realizacji własnych interesów. W naszych działaniach i debatach politycznych chłodna analiza ustępuje emocjonalnym uniesieniom. Widać to na przykładzie stosunku Polaków do UE, które cechuje dziecięca wręcz egzaltacja i brak jakiegokolwiek krytycyzmu. Wypominana przez autora uległość obozu demokratyczno-liberalnego względem Zachodu wynika właśnie, przynajmniej w sferze werbalnej, z konotacji ideowych, z emocjonalnego stosunku do instytucji zachodniego świata: demokracji, praw człowieka, globalizacji, a nie z trzeźwego osądu rzeczywistości. Aktualne położenie Polski nie znajduje porównania z sytuacją, w jakiej znajdował się nasz naród w XIX wieku, w 1939 roku albo w czasach sowieckiej okupacji. Nie grozi nam

bezpośrednia agresja militarna czy utrata niepodległego bytu, istnieją zatem warunki na prowadzenie względnie samodzielnej polityki (na ile wykorzystana to odrębna sprawa), co nie znaczy, że sytuacja nie ulegnie w przyszłości zmianie na naszą niekorzyść. Dlatego musimy się przygotować. Wykształcić w sobie polityczne myślenie.

Punktem wyjścia jest refleksja dotycząca naszej historii. Fałszywa historia jest bowiem mistrzynią fałszywej polityki.

Zbigniew Wyrębski